

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

CZŁOWIEK I JEGO POTRZEBY

Daniel Poliński 3

KAZIMIERZ: NARESZCIE

Jerzy Dostatni 4-5

KONIEC TAJNEJ MISJI

Artur Jastrzębski 8

ŻYCIE POŁAMANE

Małgorzata Sawicka 12

czas. 2552/1976/2

ROK ZAŁOŻENIA 1933

W A M E N A

LUBLIN 25 I 1976 Nr 2 (592)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

POLACY NIE GĘSI I JEZYKI ZNAJĄ?



Fot. J. Mendychowski

Jakie są efekty nauczania języków obcych w szkołach średnich i akademickich (lektoraty)? Czy i jak można opanować język obcy na kursie pozaszkolnym? Czy mamy powody i możliwości uczenia się angielskiego, francuskiego, niemieckiego...? Oto podstawowe pytania, na które szukali odpowiedzi uczestnicy redakcyjnej dyskusji, reprezentujący kilka lubelskich placówek dydaktyczno-wychowawczych. W spotkaniu wzięli udział: ANNA CZWÓRNÓG — V Liceum Ogólnokształcące im. M. Skłodowskiej-Curie, MGR ELIZA FLORKIEWICZ — I Liceum Ogólnokształcące St. Staszica, MGR EWA MORAWSKA — kierownik Ośrodka Nauczania Języków Obcych Klubu MPIK, MGR RYSZARD KOJAK — kierownik Studium Nauki Języków Obcych Wyższej Szkoły Inżynierskiej, MGR JANUSZ SZTEJMAN — kierownik Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych Akademii Rolniczej, MGR EDMUND UJMA — kierownik Studium Nauki Języków Obcych Akademii Medycznej. Redakcję reprezentował IRENEUSZ J. KAMIŃSKI.

Ireneusz J. Kamiński: — Słyszałem, że w okresie przyjmowania na kursy języków obcych w Warszawie już około północy formowały się kolejki chętnych, którzy cierpliwie oczekiwali otwarcia „szkółek”, nie tak mało płacąc następnie za naukę. Znacznym też powodzeniem cieszą się przeróżne kursy przykładowe, organizowane przede wszystkim wskutek rozwoju międzynarodowej kooperacji przemysłowej, polityki licencyjnej, najogólniej mówiąc —

trendów polskiego handlu zagranicznego. A zatem ludzie chcą się uczyć języków obcych, bo muszą je znać. Z drugiej strony słyszy się przecież krytyczne uwagi na temat znajomości języków przez młodzież szkolną i akademicką.

Anna Czwórnóg: — Uczę języka obcego, bo angielskiego, co jednak wcale nie znaczy, że uczniowie traktują go poważnie. Odnoszę wrażenie, że nie

zdają sobie po prostu sprawy z jego życiowej i studenckiej przydatności. Delikwent wpada w popłoch, kiedy dostanie dwójkę z np. matematyki, nie przejmując się prawie wcale niedostatecznym z angielskiego.

IJK: — Widzę, że jak dawniej, tak i obecnie języki należą do przedmiotów trzeciorzędnych...

Dokończenie na str. 7

CO SIĘ DZIEJE Z KARNAWAŁEM?

Wojciech Roszewski

PO zabawach oście wyposażonych we wszystko, co tylko podniebieniu mile zaleci się zdola — ciała potrzebują choćby jednodniowego wypoczynku. Nogi i serca zaprawiają się do karnawału, który na początku zrobił fiasco, rozbiwszy się w obu Resursach o twardą niechęć kobiet naszych do tańców publicznych. Tak pisał sto jeden lat temu autor cotygodniowej pogawędki w tygodniku „Błuszcz”. Pisał dziwnie. Z jednej bowiem strony smucił się, iż karnawał w ówczesnej Warszawie nie czuł się najlepiej, a z drugiej radował, że tli się jeszcze w czterech kątach prywatnych mieszkań, co w jego mniemaniu pozwala m. in. zaoszczędzić od pięćdziesięciu do stu rubli, które w przeciwnym wypadku trzeba byłoby wydać na stroje. Sto jeden lat temu jeden spośród niedoszłych balli sylwestrowych w Resursie zapisał się dwanaście dam, na drugi trzy. Włochy

— poszukuje nasz autor przyczyn tej niechęci do zabaw — dla tańca, dowcipu i intrygi wylegają na ulicę; od go-

dziny trzeciej po południu w każdą niedzielę karnawału, główne ulice miast ich zmieniają się w sale i przedzenia

reduktowe. Włoch potrzebuje żyć i bawić się całym tłumem; u nas zabawa przyjmuje więcej charakter indywidualny, niechętnie z murów wychodzi, nie ukazuje się tym, których nie zna. Włochy bawią się więcej jako genus, my zaś w zabawach sobą być chcemy. Stąd odosobnienie się u nas; stąd wspólność zabawy u Włochów. Karnawał we Włoszech jest najdoskonalej demokratyczny; znikają tam różnice stanu, wykształcenia, majątku. Wielka pani może zaintrygować i pokochać na maskaradzie biednego na przykład subiekta lub kancelistę. U nas... u nas demokratyczność okazuje się może jedynie tym, że tańczymy u siebie bez masek, a stroje bierzemy jakie są (...).

Jean Paul Sartre powiedział kiedyś, że piekło to inni. Jeśli nawet tak jest, któż z nas od czasu do czasu nie chce znaleźć się w tym piekle? — Bądź zaw-

Dokończenie na str. 4—5

Na lekcji historii

Marek Adam Jaworski

ODCINEK ósmy i ostatni. Czas już kończyć RFN-u opisanie, tym bardziej, że w miarę upływu tygodni coraz mniej szczegółów pozostaje w pamięci. Zdaje sobie sprawę, że dwutygodniowy pobyt w jakimkolwiek kraju to okres zbyt krótki, zwłaszcza gdy się jest w nim po raz pierwszy. Moi gospodarze z Inter Nationes starali się wprowadzić pokazać mi jak najwięcej, umożliwili spotkania z interesującymi ludźmi, lecz jednak — mimo wszystko — багаż moich wrażeń mógłby być większy. Nie zwiędłem żadnej fabryki, wsię widziałem tylko z okien pociągów, zabrakło kontaktów z młodzieżą. Kontaktów bezpośrednich, bo przecież przysłuchiwałem się lekcji historii, którą w przedmaturalnej klasie w jednej ze szkół monachijskich prowadził von Otrifrid Pustejovsky. Jeśli teraz, w czasie spotkań z czytelnikami, pada wiele pytań, mogą nie odpowiadać tylko częściowo, sięgając w wielu wypadkach do samej prasy zachodniemieckiej. Oczywiście nie chciałbym, aby Inter Nationes potraktowała te słowa jako krytykę zaproponowanego mi programu. Jadąc do RFN sam nie przypuszczałem, że tyle zobaczę, a obecnie wiem, że chciałbym zobaczyć znacznie więcej.

W sierpniu ub. r. monachijski dziennik „Muenchner Mercury” zamieścił serię artykułów swych zagranicznych korespondentów na temat: *Co myśli świat o nas, Niemcach? — Opinie zagranicy o dzisiejszej Republice Federalnej*. Ankieta, oczywiście, objęła tylko jedno państwo niemieckie. Do tego rodzaju publikacji zawsze zresztą trzeba podchodzić z pewną rezerwą, nie mniej na niektóre poglądy chciałbym zwrócić uwagę.

Korespondent z Francji, Hans Barteł, twierdzi, że *uważ niemiecki po dwóch krwawych wojnach w ciągu połowy stulecia, z których tylko jedna tak naprawdę przyniosła zwycięstwo Francji, tkwi głęboko w sercach pokolenia, dzierzącego dziś ster rządów w rękę. Fenomenalne zmartwychwstanie dwugłowego niemieckiego feniksa z popiołów 1945 roku nie przyczyniło się do wyzwolenia Francji ze wszystkich osadów jej kompleksu niższości. Autor korespondencji ubolewa, że młodzież francuska ogląda w telewizji zbyt wiele filmów o epoce, w której Niemcy po większej części nie odgrywali sławnej roli. Jednocześnie Barteł szeroko zajmuje się opinią, jaką wyraził na łamach prasy paryskiej generał François Binoche, były francuski komendant Berlina: Niemcom nie można ufać, nie zmienili się oni od Bismarcka przez Hitlera do Adenauera i dzisiejszego Bonn. Nie wyróżniali do dziś swoich długów wobec Europy, nie uznali obecnych granic.*

Francuzi żyli pod butem III Rzeszy. Te smutne doświadczenia są obce Anglikom, toteż ich opinie o Niemcach (zachodnich) są daleko cieplejsze. „Zły Niemiec” znika z środków masowego przekazu, Anglicy odkryli w Niemcach bliskich „kuzynów”, z którymi łączy ich więcej cech wspólnych niż z kimkolwiek innym z rodziny europejskiej. Podobnie według opinii waszyngtońskiego korespondenta, Petera Bauera, myślą i Amerykanie: *Dla Ameryki jesteśmy teraz wzorowymi chłopcami... Niemcy stali się dla Stanów Zjednoczonych tym, czym byli do niedawna Brytyjczycy. Z drugiej jednak strony autor ubolewa, że literatura, sztuka i film RFN są tu prawie całkowicie nieznane.*

Z kolei Austriacy mają patrzeć na Niemców nie w kategorii miłości czy nienawiści rodzinnej; widzą oni Niemców jak obcych, z którymi na szczęście można rozmawiać tym samym językiem i którzy wyrosli — jeszcze raz na szczęście — z tego samego podłoża kulturalnego. Austriacy mówią: *Pan Niemiec wszystko jada i wszystko wie lepiej, lubi zyskującą dużo praco-*

wać, równie sumiennie, jak bez humoru, jest dobrym ojcem dla psów i jakim takim dla rodziny.

Opinia Polaków o Niemcach z Republiki Federalnej dziennik nie przytacza, pomija również opinie Skandynawów i narodów zamieszkałych na Bałkanach, które w czasie ostatniej wojny przechodziły różne koleje losu. Nie sądzę, aby to był zwykły przypadek.

Przytoczyłem „Muenchner Mercury” (z którym można się zgadzać czy też nie zgadzać), bo sam fakt, iż tego rodzaju ankiety pismo przeprowadza, wydaje mi się interesujący. Zauważyłem zresztą w bezpośrednich rozmowach, że obywatele RFN chcą wiedzieć, jak cudzoziemiec ocenia ich kraj, co mu się w nim podoba, a co nie.

Wracam jeszcze do Monachium. Frau Hedwig Moeller chce mi pokazać jedną ze szkół średnich. Jedziemy kilka dobrych kilometrów taksówką. Budynek jest nowy, ale dość zaniedbany. Dyrektor bezradnie rozkłada ręce: *„Na razie brak funduszy na remont”. Szkoła ma zresztą sublokatorów. Historyk, von Otrifrid Pustejovsky, zaprasza nas na lekcję „Proszę czuć się swobodnie — mów! — Nie będę pana przedstawiał, dopiero pod koniec powiem, kogo gościłiśmy. Nasza młodzież jest przyzwyczajona do różnych wizyt”.*

Śladamy z Frau Hedwig na ostatniej ławce. Lekcja już się rozpoczęła, ale kilku uczniów spóźniła się. Bez usprawiedliwienia zajmują swoje miejsca. Nauczyciel nie reaguje.

Klasa maturalna. Nie wszystkie ławki zajęte. Koedukacja. Razem dwadzieścia kilka osób.

Tematem jest Europa po Kongresie Wiedeńskim. Pustejovsky raz po raz wodzi linijką po mapie, kilkakrotnie podkreśla, że Kongres Wiedeński nie przywrócił niepodległości Polski, że w jego decyzjach tkwiło zarzewie późniejszych konfliktów. Wykład jest rzeczowy, interesujący, ale młodzież bardziej zajmuje się sobą. Nauczyciel próbuje wywołać dyskusję, ale udaje mu się to z trudem. Zabierający głos uczeń nie wstaje z miejsca, mówi na siedząco. Dziewczyna przede mną najwyraźniej się nudzi. Nawet nie usiłuje tego ukrywać. Ziewa. W jej siatce widzę paczkę papierosów.

Patrzę na ściany. Brudne, pomazane ołówkami. Nie, nie mogę powiedzieć, aby tu mi się podobało.

Kilka lat temu (w numerze 14 z 27 marca 1972 roku) na łamach tygodnika „Der Spiegel” ukazał się charakterystyczny artykuł na temat kryzysu autorytetu szkolnictwa w RFN. Cytuję dosłownie:

Gdy nauczyciel angielskiego wszedł do klasy, 13-letni uczeń podbiegł do niego z plakatem następującej treści: „Czy miał pan dziś w nocy storunek płciowy? Jeśli tak, proszę się uśmiechnąć”.

Kiedy znów cierpiący na astmę nauczyciel wszedł na czwarte piętro, do pracowni fizyki, poczuł duszności. „Czy macie na chwilę otworzyć okno?” — zapytał. Odpowiedź brzmiała: „Musimy wniosek poddać pod głosowanie”. Nikt nie wypowiedział się za wnioskiem, a więc okno pozostało zamknięte.

„Der Spiegel” stwierdzał, że tego rodzaju przykłady można mnożyć. W hamburskiej szkole podstawowej w dzielnicy Neuharlsstadt kłębkiem nauczycielskie wystosowało apel do wszystkich rodziców. Apel ów głosił:

Brutalność uczniów w stosunkach wzajemnych wybiera na siłę. Opiewają się, biją się boleśnie, niszczą sobie wzajemnie ubrania; ich niekontrolowane napady wściekłości zagrażają zdrowiu kolegów. Jedni drugich terroryzują groźbami i szantażem... Codziennie traci się trzecią część czasu przeznaczoną na naukę, ponieważ trzeba czekać na opóźniających się uczniów, którzy swoim prowokacyjnym zachowaniem przeszkadzają w prowadzeniu lekcji. Prace domowe nie są

wykonywane, albo są wykonywane źle. Stały niepokój powodowany przez nieznośnych uczniów zakłóca wszystkim klimat pracy.

„Der Spiegel” pisał też o tym, czego byłem częściowo świadkiem. W wielu szkołach zniesiono obowiązek kłania się uczniom nauczycielom. Regulą stało się rozpoczynanie lekcji bez ceremoniału powstawania z miejsc i witania nauczyciela. Nie wszędzie żąda się od ucznia, aby przez podniesienie ręki meldował, że ma coś na lekcji do powiedzenia. Uczniowie nie oplacają się wstawać, gdy pragnie coś powiedzieć, i wygłasza swoją kwestię siedząc. Używanie tytułu przez ucznia rozmawiającego z nauczycielem już prawie się nie zdarza. Wyjątkowo tytułem honoruje się starego, popularnego nauczyciela. W całej Republice Federalnej słychać skargi, że nie tylko chłopcy, ale i dziewczęta niszczą sprzęt szkolny i meble.

W Polsce nauczyciele narzekają często na młodzież. Nie chcą jej brać w obronę, bo i u nas zdarzają się wypadki chuligaństwa, sądzę jednak, że w RFN pod tym względem bywa znacznie, znacznie gorzej.

Wizyta w domu pastora. Herr Reinhard von Loewenich jest przewodniczącym działającego w Monachium, Towarzystwa Niemiecko-Polskiego. Pastor i jego przemila żona byli w Polsce, nie ukrywają, że polubili nasz kraj, „który tak szybko się zmienia”. Gościna z Polakami czestują kawą i piackiem ze śliwkami. Podkreślam to, bo w dzień później podobny plasek serwują mi Frau i Herr Kunstmannowie.

To również bardzo sympatyczna wizyta. Ponadgodzinna jazda pociągiem w kierunku Alp, później już krótszy przejazd samochodem. Wspaniałe widoki — kilkanaście kilometrów dalej już Austria.

Willa Kunstmannów może zaimponować, ale mnie jeszcze bardziej zaimponowała biblioteka, a w niej tysiące książek w języku polskim i czeskim. Wśród nich — białe krukli.

Dr Heinrich Kunstmann, profesor slawistyki, jest zafascynowany Gombrowiczem i Witkacym. O nim pisał WISZ (Wilhelm Szewczyk) na łamach „Zycia Literackiego” równo przed dziesięcioma laty:

Kunstmann jest przede wszystkim uczonym badaczem, zafascynowanym naszym dramatem współczesnym. Za interesowania te pozwoliły Kunstmannowi opublikować w roku ubiegłym obszerny zarys dziejów polskiej dramaturgii, w której to książce, szkicując pokrótce drogę, jaką dramat polski odbył od Kochanowskiego do Wyspiańskiego, zajął się szczególnie okresem II Rzeczypospolitej. Stanisław Ignacy Witkiewicz został tutaj uhonorowany aż w trzech odrębnych rozdziałach, przy czym Kunstmann nie tai swego podziwu dla tego „fenomenu o randze międzynarodowej”.

Znaleźliśmy — kończy Szewczyk — w Heinrichu Kunstmannie doskonałego znawcę polskiego dramatu i uczciwego jego tłumacza. To duży zysk na obszarze wzajemnych styków, jakże często ostatnio przemieniających się w działania zaczepne.

(W ciągu ostatnich dziesięciu lat coś niecoś się zmieniło i tych „działań zaczepnych” jest coraz mniej. Ale to dygresja).

Na pamiątkę wizyty otrzymuję książkę „Der Fuenfte zum Bridge”, stanowiącą małą antologię polskich słuchowisk radiowych, w przekładzie mego gospodarza. Znajduję tu znajome nazwiska, m. in. Jerzego Krzysztonia, Tadeusza Śliwiaka, Tymoteusza Karpowicza.

Dr Kunstmann prowadził obfitą korespondencję z polskimi pisarzami. I ma wzorowy porządek. Wszystkie listy są dokładnie posegregowane.

Ostatnio wydał książkę o czeskich powieściach, opowiadaniach i nowe-

lach: „Tchechische Erzählkunst im 20. Jahrhundert”. 466 stron. Cena 78 DM. Trudno w RFN być bibliofilem. Oglądając pokaźne zbiory dr. Kunstmanna i jego piękną willę zastanawiałem się przez moment... co ma większą wartość? Trochę żartuję, bo to przecież nie są rzeczy porównywalne...

Na zakończenie muszę jeszcze wspomnieć o obiektach olimpijskich, a właściwie poolimpijskich, w Monachium, i zacytować zmienny głos b. burmistrza tego miasta.

Obiekty poolimpijskie mogą budzić zazdrość nie tylko sportowców. Dziś są one w różny sposób wykorzystywane. W jednej z hal otwarto w czasie mego pobytu wystawę dorobku Związku Radzieckiego: osiągnięcia gospodarcze ze specjalnym uwzględnieniem zdobyczy kosmicznych. Wiele bardzo ciekawych, mało znanych, albo zupełnie nieznanymi zdjęć. Na miejscu — kuchnia rosyjska. Wśród dań — znakomity barszcz moskiewski. Owszem jadłem z przyjemnością.

Było już ciemno, gdy wjechałem na wieżę telewizyjną, skąd mogłem oglądać panoramę Monachium. Restauracja na czubku wieży, podobnie jak restauracja na czubku wieży telewizyjnej w Berlinie, obraca się. Nie ruszając się z miejsca, widzi się, bodaj w ciągu godziny całe miasto. Brakowało już czasu, aby zwiedzić wioskę olimpijską, związaną z tragicznymi wydarzeniami. Podobno w dalszym ciągu nie wszystkie mieszkania, przede wszystkim z uwagi na wysokie komornie, bądź wysokie ceny, a także położenie, znalazły lokatorów i nabywców.

B. burmistrz Monachium, dr Hans Jochen Vogel, wydał przed kilkoma laty książkę, w której ostrzegł, że kamienne dzungle, rządzone gwałtem i nienawiścią — takie będą miasta przyszłości, jeśli w jak najszybszym czasie nie dojdzie do radykalnych zmian.

Symptomów kryzysu — pisał — jest cały legion. Oto bezbrzeżne — jak się wydaje nie do zahamowania — rozdarcie struktur miejskich. Oto wymierające, sparaliżowane i zduszone przez ruch indywidualny serca miast, rezygnujące ze swych funkcji na rzecz stref podmiejskich i na rzecz centrów zakupów, które przenoszą się bliżej terenów zielonych; serca miast przekształcają się w zbiorowisko budynków administracyjnych z jednej i słumsów z drugiej strony... Gdzie leży błąd? Kryzys miast jest kryzysem nieokreślonego, przekraczającego własne granice, systemu ekonomicznego. Polega on na tym, że w naszych miastach decydującym kryterium stała się stopa wzrostu... Najwyraźniej uświadcznia się ta zasada w wypadku konkurencji różnych instytucji, ubiegających się o tę samą parcelę budowlaną... Zwyciężyła instytucja, która zapewni największy zysk i dzięki temu może płacić wyższą stawkę. Problem — czy to właśnie jest pozytywne dla społeczeństwa — pozostaje na bardzo dalekim planie. Aby wymienić przykłady z Monachium: zawsze dom towarowy wyora w konkurencji z centrum kulturalnym, bank w konkurencji z kawiarnią, budynek biurowy w konkurencji z piwiarnią... System zwraca się przeciwko ludziom i wypędza humanitaryzm z naszych miast... System zalewa nas kosmetykami i środkami farmaceutycznymi tam, gdzie brak szpitali i centrów rehabilitacyjnych, narzuca każdemu obywatelowi kolorową telewizję, zanim wybuduje się wystarczającą liczbę szkół, bibliotek, instytucji oświaty dla dorosłych itp. Gotów jest raczej rozwinąć środki transportowe, by wnieść ludzi na Księżyc, niż rozwinąć nowe technologie, które na Ziemi mogłyby pozwolić na połączenie korzystnych stron samochodu i kolei podziemnej...

To są słowa Niemca, burmistrza Monachium, który przez 12 lat piastował swój urząd. Sądzę, że warto się nad nimi zastanowić.

PREMIERY W TV



„Motel pod poległym alpinistą”, reż. Stanisław Wohl. Na zdjęciu Ryszard Pietruski. Premiera: styczeń 76 r.



„XI spotkanie” — komedia czeskiego autora Franciszka Samberka, reż. Krystyny Szer. Na zdjęciu Józef Naiberczak. Premiera: luty 76 r.



„Faust” Goethego, reż. Grzegorza Królikiewicza. Występują m. in. Małgorzata Potocka oraz Olgierd Łukasiewicz. Premiera: marzec 76.

Fot. Sławomir Grünberg

PYTANIE, czym jest człowiek, od wieków zaprzętało umysły najwybitniejszych mędrców, filozofów i uczonych. Nie straciło ono ani na swej aktualności i w czasach współczesnych. Nawet przeciwnie, ranga tego pytania niezmiernie wzrosła. Teoretyczne bowiem rozwiązania, odpowiedzi nan udzielane, będąc często podstawą działań praktycznych, zyskują ogromne znaczenie społeczne. Dlatego też nie przypadkowo problem człowieka znajduje się w centrum ostrych sporów filozoficznych, w centrum walki ideologicznej przeciwstawnych sobie systemów społeczno-ekonomicznych.

Rezultaty wielowiekowej refleksji filozoficznej nad człowiekiem znajdują m. in. swój wyraz w powszechnie dziś używanych określeniach, takich jak „homo sapiens” (człowiek myślący), „homo politicus” (człowiek polityk), „homo socius” (człowiek społeczny), „homo faber” (człowiek wytwórca), „homo creator” (człowiek twórca). Każde z tych określeń zwraca uwagę na jedną z istotnych cech człowieka, przy czym historyczna kolejność odkrywania tych cech była w zasadzie odwrotna w stosunku do tej, w jakiej tworzyły się one w procesie antropogenezy.

Nie należy więc zbytnio dziwić się temu, iż tak pierwotne i podstawowe właściwości człowieka, a mianowicie jego potrzeby, przez wiele stuleci znajdowały się poza zakresem systematycznych badań naukowych. Źródłem tego stanu rzeczy nie należy

wolne, wrodzone, fizjologiczne, fizyczne, naturalne, konieczne, biogenne, materialno-biologiczne. Ich zaspokojenie jest koniecznym warunkiem zachowania biologicznego życia organizmu. Istnieje przy tym optymalny poziom zaspokojenia tych potrzeb, który odpowiada biologicznym normom danego organizmu. Oprócz niego istnieją jeszcze dwa poziomy, których przekroczenie powoduje śmierć organizmu. Jest to z jednej strony poziom „minimalnie konieczny”, z drugiej zaś — „maksymalnie możliwy”. Życie biologiczne jest więc możliwe tylko wówczas, gdy potrzeby są zaspokajane pod względem ilościowym o obszarze znajdującym się między tymi dwoma poziomami.

Potrzeby materialne oprócz aspektu ilościowego posiadają również aspekt jakościowy. Stanowi on cechę charakterystyczną materialnych potrzeb człowieka, związany jest z faktem zaspokajania potrzeb przy pomocy przedmiotów będących wytworem ludzkiej pracy. Historycznie określona produkcja przedmiotów konsumpcji determinuje jakościowy aspekt potrzeb, które są zaspokajane przy pomocy tych właśnie przedmiotów.

W procesie praktycznego stosunku człowieka do przyrody, w wielowiekowym procesie zaspokajania potrzeb materialnych, zrodziły się specyficznie ludzkie potrzeby — potrzeby duchowe. Z chwilą swego powstania uzyskują one względną autonomię w stosunku do potrzeb materialnych, zaczynają podlegać swoistemu rozwojowi historycznemu. Ten ich roz-

CZŁOWIEK I JEGO POTRZEBY

Daniel Poliški

oczywiście, upatrywać tylko w pewnych prawidłowościach ludzkiego procesu poznania. Tak się bowiem toczyła do niedawna historia wszystkich społeczeństw, iż znaczna większość ludzi w każdym społeczeństwie, które miało trudności z zaspokojeniem swoich potrzeb, nie miała możliwości uprawiania refleksji nad potrzebami, natomiast mniejszość, która takimi możliwościami dysponowała, nie miała problemów z ich zaspokojeniem.

Człowiek to istota przyrodnicza. Podobnie więc jak rośliny i zwierzęta, jest on w swym istnieniu uzależniony od pozostałego świata przyrodniczego. To zaś oznacza, że człowiek, aby zachować swoje życie w sensie biologicznym musi, podobnie jak inne istoty żywe, zaspokajać swoje potrzeby przedmiotami świata zewnętrznego, musi dokonywać wymiany materii między sobą a środowiskiem przyrodniczym.

Tak więc musimy zacząć od stwierdzenia, iż pierwszą przesłanką wszelkiej egzystencji ludzkiej, a więc i wszelkiej historii, jest to, że aby móc „robić historię”, ludzie muszą mieć możność życia. Do życia zaś potrzeba przede wszystkim jedla i napoju, mieszkania, odzieży i jeszcze niektórych innych rzeczy. A więc pierwszym czynem historycznym jest wytworzenie środków do zaspokojenia tych potrzeb, produkcja samego materialnego życia.

Stwierdzenie to, sformułowane przeszło sto lat temu przez K. Marksa i Fr. Engelsa, legło u podstaw stworzonej przez nich materialistycznej teorii rozwoju społecznego. Teoria ta, zwana materializmem historycznym, dokonała radykalnego przewrotu w naukach społecznych. Dotąd bowiem poszukiwano przyczyn podstawowych przyczyn przemian historycznych, pierwotnych źródeł aktywności człowieka, w zmianach jego świadomości, w zmianach poglądów ludzi. Materializm historyczny zmienił tę perspektywę badawczą. Nie negując istnienia czynników idealnych (świadomościowych) jako bezpośrednich przyczyn aktywności ludzkiej, wskazał on na ich podstawę — materialne potrzeby człowieka.

Potrzeby materialne najogólniej można określić jako takie stany organizmu, które powstają wskutek dłuższego lub krótszego zakłócenia procesu wymiany materii i energii między organizmem a środowiskiem zewnętrznym. W stosunku do tego typu potrzeb używa się zwykle takich określeń, jak: pier-

wój i autonomia uzależnione są jednak od określonego stopnia zaspokojenia potrzeb materialnych. Człowiek głodny — jak wiadomo — myśli tylko o jedzeniu. Jego świadomość i zachowanie się są zorganizowane tylko wokół tej potrzeby. Dlatego też rozwój i zaspokojenie potrzeb duchowych są uzależnione z jednej strony od wydajności pracy, z drugiej zaś od społecznej zasady podziału wytworów tej pracy — materialnych dóbr konsumpcyjnych.

Potrzeby duchowe są — najogólniej rzecz ujmując — takimi stanami podmiotu, które powstają wskutek przerwania procesu wymiany informacji lub zakłócenia duchowych funkcji realizowanych przez podmiot. Tego typu potrzeby określa się najczęściej jako wtórne, nabyte, społeczne, intelektualne, psychogenne, wyższe. Realizacja procesu zaspokajania tych potrzeb jest warunkiem koniecznym istnienia człowieka jako podmiotu społecznego, a więc istnienia człowieka jako człowieka. Proces zaspokajania potrzeb duchowych nie zawiera w zasadzie żadnych górnych granic, chociaż w pewnym sensie można mówić o poziomie minimalnie koniecznym. Gdy potrzeby duchowe istnieją i są zaspokajane powyżej tego poziomu, to mamy wówczas do czynienia z życiem społecznym danego podmiotu, z ludzkim życiem człowieka. Ale jeżeli potrzeby te nie pojawiły się bądź są zaspokajane poniżej tego poziomu, to wówczas możemy mówić o braku życia społecznego lub „śmierci społecznej” danego podmiotu.

Aktywność ludzka, której źródłem są potrzeby (materialne i duchowe), przejawia się — jak wiadomo — w formach różnorodnych. Owe różnorodne formy aktywności tworzą całościową strukturę, która służy zaspokojeniu potrzeb podmiotu. Strukturą aktywności specyficzną dla człowieka jest działalność produkcyjno-konsumpcyjna. Stanowi ona nie tylko konieczny warunek istnienia ludzi, ale i ich rozwoju. Odkrywa to materializm historyczny mówiąc, że sama zaspokojona pierwsza potrzeba, czynność zaspokajania i już uzyskane narzędzie zaspokajania prowadzą do nowych potrzeb — i to stwarzanie nowych potrzeb jest pierwszym czynem historycznym, pierwszym ogniwem procesu rozwoju społecznego, początkiem historycznego procesu autokreacji człowieka, człowieka mającego wciąż więcej potrzeb, wśród których potrzeby duchowe zaczynają coraz częściej odgrywać rolę dominującą.

KONKURS NA RECENZJĘ TEATRALNĄ

WYDZIAŁ Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego i Urzędu Miejskiego w Lublinie, oddział wojewódzki Towarzystwa Kultury Teatralnej, oddział lubelski Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, redakcja „Kamień” oraz dyrekcja Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie ogłaszają konkurs na recenzje aktualnie prezentowanych przez lubelski teatr przedstawień „Don Juana” Moliere’a oraz „Grupy Laokoona” Tadeusza Różewicza.

Konkurs jest otwarty — organizatorzy zapraszają do udziału wszystkich widzów, w szczególności zaś pracowników zakładów przemysłowych i mieszkanców wsi, młodzież szkolną i studencką, członków amatorskich zespołów teatralnych oraz klubów miłośników sceny.

Uczestnik konkursu może napisać odrębne recenzje obu wymienionych przedstawień, bądź też wypowiedzieć się tylko na temat jednego, wybranego spektaklu. Objętość recenzji nie powinna przekraczać 4 stron czytelnego rękopisu na papierze kancelaryjnym.

Prace w 5 egzemplarzach należy nadsyłać do 2 lutego 1976 r. (decyduje data stempla pocztowego) do oddziału wojewódzkiego Towarzystwa Kultury Teatralnej, 20-076 Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 55. Recenzje

winny być opatrzone godłem. To samo godło należy umieścić w zaklejonej kopercie i podać przy nim następujące dane: imię i nazwisko uczestnika konkursu, dokładny adres, zawód i wiek.

Za najlepsze recenzje zostaną przyznane następujące nagrody:

- I — 5 tys. zł.
- dwie II — po 3 tys. zł.
- trzy III — po 2 tys. zł.
- dziesięć wyróżnień po 500 zł.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

Przewiduje się możliwość druku najlepszych recenzji w pismach codziennych oraz następujących periodykach: „Kamień”, „Scena”, „Tygodnik Kulturalny”.

Konkurs zostanie rozstrzygnięty w marcu 1976 r. podczas obchodów Międzynarodowego Dnia Teatru. Jury będzie pracować w składzie następującym: Maria Bechczyz-Rudnicka, Andrzej Hausbrandt, Irena Sławińska, Włodzimierz Wójcikowski, Andrzej Wróblewski.

Zainteresowani konkursem mogą zasięgnąć o nim dodatkowych informacji w oddziale wojewódzkim TKT w Lublinie, tel. 224-68.

Kazimierz: nareszcie

Jerzy Dostatni

AWIĘC wiemy już także oficjalnie, czym ma być Kazimierz i co w nim wolno będzie robić, a czego nie. Pozostając ośrodkiem gminnym, będzie także ośrodkiem turystycznym, ale o ograniczonych funkcjach. Ograniczenia te wypływają z wysokiej wartości architektoniczno-urbanistycznej zabudowy miasta jak i okolicznego krajobrazu, które pozostają pod ochroną konserwatorską. Chodzi o to, aby Kazimierz nie został „zdeptany” przez turystów, jak to się stało z Zakopanem, lub co grozi Krynicy czy Rabce.

Tak więc maksymalną granicę miejsc noclegowych określono na cztery tysiące dwieście, z czego dwa tysiące w kwaterach prywatnych. Graniczną liczbę tzw. turystów jednodniowych ustalono na trzy tysiące. Nikt oczywiście nie będzie liczył przyjeżdżających i w pewnej chwili nie opuści szlabanu, ale dla większej liczby niż siedem tysięcy osób po prostu nie będzie miejsc do spania i siedzenia, nie będzie jedzenia, nie wystarczy innych form usług. Chodzi o to, aby do Kazimierza zaczęli przyjeżdżać tylko ludzie, dla których specyficzny wygląd i atmosfera zabytkowego miasta jest przygodą poznawczą.

Czego w Kazimierzu nie wolno? Lista jest dość długa, wymienimy sprawy najważniejsze. A więc żaden nowy budynek nie będzie mógł mieć więcej niż trzy kondygnacje, przeważać jednak będą domy parterowe i jednopiętrowe. Z wyjątkiem zabudowań rolniczych nie obowiązują projekty typowe. To urzędowo, praktycznie po prostu nie będą zatwierdzane do realizacji. Każda inwestycja musi być zgodna z dość surowymi wymaganiami ustawy „o ochronie dóbr kultury i muzeach” z lutego 1962 roku. W wawozach żadnej zabudowy, żadnego chodzenia gdzie kto chce, a tylko po wyznaczonych ciągach pieszych. Nie wolno ścinać żadnego drzewa lub krzewu w wawozach. Nie wolno budować na terenach, które mają powyżej dwudziestu procent spadku — odwrotnie, tam obowiązuje nakaz sadzenia drzew celem powstrzymania erozji.

Na obszarze tzw. otuliny miasta, a więc w odległości do pięciu km od zabudowy miejskiej, nie wolno zakładać nowych dróg poza już przewidzianymi,

prowadzić jakichkolwiek linii napowietrznych, wznosić obiektów kubaturowych, w jakikolwiek sposób naruszać istniejących wawozów. Eksploatacja kamieniołomów na Albrechtówce zostaje na zawsze wstrzymana. Istniejące sady nie mogą być zlikwidowane, ani nawet zmniejszone. Gdy tylko to możliwe, produkcję rolną należy przestawić na sadowniczo-warzywniczą.

I wreszcie sprawa ruchu kołowego, która od lat niepokoiła miłośników Kazimierza. Otóż tzw. ruch przelotowy na trasie Puławy-Opole pobiegnie wyłącznie obwodnicą w odległości kilku kilometrów od miasta. Poprzednio budowę tej obwodnicy widziano gdzieś w bliżej nieokreślonej perspektywie. Dziś można stwierdzić, że budowa już się rozpoczęła. I tylko życzyć sobie należy, aby tempo tej budowy stałe wzrastało, jakkolwiek ze względu na pagórkowaty, a miejscami także podmokły teren jest to zadanie i trudne i kosztowne. Od tej obwodnicy do granic miasta będzie można dojechać tzw. sięgaczami, których zakończenie stanowić będą parkingi. Ograniczeniu ulegnie także wewnętrzny ruch kołowy koło Rynku.

Takie to są podstawowe założenia nowego planu ogólnego zagospodarowania przestrzennego Kazimierza, zatwierdzone ostatecznie w grudniu ub. roku.

Poprzedni plan ogólny został zatwierdzony w grudniu 1969 roku. Przewidywał on również pewne ograniczenia, ale znacznie mniejsze, a ponadto w praktyce okazywało się, że można go było nie tylko dosyć swobodnie obchodzić, ale nawet łamać przy poparciu tzw. osobistości, jak to było w przypadku projektowanego domu wypoczynkowego Azotów, do którego budowy nie doszło z zupełnie innych względów.

Miłośnicy Kazimierza pamiętają zapewne, że przed trzema laty i trzema miesiącami przez trzy dni w trzech gremiach (dwóch oficjalnych i jednym kulturalnym) toczyła się w Domu Architekta zawzięta dyskusja na temat tego miasta, jego kształtu i funkcji. W owej dyskusji brali udział przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych różnego szczebla, architekci i urbaniści, konserwatorzy zabytków i ekonomiści, historycy sztuki, geografowie, przyrodnicy itd. Dyskusja była wynikiem sze-

rokiej kampanii prasowej, w której i „Kamena” brała udział, skierowanej zarówno przeciwko planowi zagospodarowania przestrzennego z 1969 roku, jak i temu, co działo się w praktyce.

W swoich notatkach z tej dyskusji znajduję kąśliwą uwagę, że przynajmniej połowa tej uczestników zatwierdziła ten plan, tak zaciekle teraz atakowany. No, ale zmieniły się nie tylko warunki, ale także poglądy konserwatorskie. Te ostatnie formułowane swego czasu w dość dalekich miastach i raczej nie dziwnego, że nie brały one pod uwagę specyficznych wartości Kazimierza i jego otoczenia. Czas też może wyznać publicznie, że jednym z głównych inspiratorów całej oficjalnej i nieoficjalnej dyskusji był nowo mianowany konserwator miasta, mgr Jerzy Zurawski.

Na zakończenie owej trzydniowej dyskusji w Kazimierzu ówczesny przewodniczący PWRN mgr inż. Ryszard Wójcik, dziś I sekretarz KW PZPR w Lublinie, zobowiązał Wojewódzką Pracownię Urbanistyczną do opracowania nowego planu ogólnego i szczegółowego miasta, które by uwzględniły wszystkie słuszne wysunięte wówczas postulaty.

W tzw. międzyczasie Wojewódzka Pracownia Urbanistyczna przekształciła się w Biuro Planowania Przestrzennego, ale to na szczęście nie zahamowało prowadzonych szerokim frontem prac. No i jest ten nowy plan. Opracował go zespół w składzie: mgr Jacek Babuchowski, mgr inż. Bogumił Filipowski, inż. Teresa Kaczorowska, mgr Barbara Kaszycka, mgr Irena Kosik, mgr Zdzisław Lechus, mgr Bożydar Rząd-Górnicki i mgr Paulina Szczerbiak. Głównym projektantem była inż. arch. Urszula Frąk, która też zapoznała mnie z jego szczegółami.

W protokole Głównej i Wojewódzkiej Komisji Urbanistycznej, opiniującej ten plan, czytamy m.in. stwierdzenia jednego z naszych największych autorytetów w zakresie urbanistyki i architektury, prof. Zygmunta Skibniewskiego: „Stwierdza się bardzo wysoki stopień wszystkich opracowań... Plan ogólny miasta Kazimierza Dolnego jest bardzo dobry... Metoda opracowania studium, włączenie do współpracy szeregu uczelni i instytucji naukowych świadczy o bardzo głębokim potraktowaniu całości sprawy”. A przedstawiciel Ośrodka Dokumentacji Zabytków w Ministerstwie Kultury i Sztuki obiecał wydanie drukiem całego opracowania, które jeżeli chodzi o metodę i wyniki może stanowić wzór dla wielu innych miast.

Pomijam szczegóły owej metody, bo to jest sprawa ważna tylko dla specjalistów, którzy otrzymają wszystko — miejmy nadzieję, że w krótkim czasie — wydane drukiem. Chciałbym tylko podkreślić, iż temat został potraktowany bardzo szeroko, obejmując wiele dziedzin, opracowanych przez specjalistów spoza BPP. I tak zagadnienia fizjokratyczne opracował zespół pracowników UMCS pod kierunkiem prof. T. Wilgata, krajobrazowe zespół z Politechniki Krakowskiej doc. J. Bogdanowskiego, rekreacyjne jedna z pracowni PAN, historyczne zespół mgr J. Czerepińskiej z lubelskiej PKZ, komu-

Dokończenie ze str. 1

sze sobą! — rozlegają się wokół nas natrętne głosy. — Stwórz sobie w otaczającym cię świecie swój intymny, mały świat i żyj w nim, jak u pana Boga za piecem. — Na dłuższą metę jest to jednak nie do zniesienia. Prędzej czy później przychodzi nieuchronnie moment, kiedy człowiek ma dosyć i siebie, i swojego intymnego świata. Kiedy marzy tylko o tym, żeby opuścić własną skórę, poczuć się chociaż przez chwilę kimś innym, zaznać różnych ewentualności istnienia. Cóż z tego jednak, iż uda się nam przez chwilę nie być sobą, skoro świat wokół nas pozostanie niezmienny? Stąd zabawa, jaką jest od wielu wieków karnawał, nie poprzestaje na odmiennieniu nas samych przy pomocy kostiumu, maski i wprawienia się w szczególny stan psychiczny umożliwiający różne szaleństwa, lecz także zmienia w pewnym sensie układ stosunków panujących w rzeczywistości.

Co wolno wojewodzie, to nie tobie mopanku! Karnawał polegał zawsze na tym, iż mopanek mógł w jego trakcie wystąpić nie tylko w kostiumie wojewody, lecz także w jego roli. Możliwa była także odwrotna sytuacja; wojewoda mógł doświadczać przez jakiś czas roli mopanka. Karnawał — napisano w „Bluszczu” sto jeden lat temu — we Włoszech jest najdoskonalej demokratyczny: znikają tam różnice stanu, wykształcenia, majątku. Sąd w pewnym mierze trafny, ale nie we wszystkim. Otóż w trakcie karnawału różnice stanu, wykształcenia, majątku nie znikają, tylko ulegają specyficznemu, ludycznemu odwróceniu. Człowiek z ludu mógł się czuć królem, a król człowiekiem z ludu. Czym więc w takim razie był karnawał? Najprostszą odpowiedzią brzmi: rewolucja na niby, wielkim eksperymentem kulturalnym, nowym podziałem ról, ekstazą wreszcie, jeśli weźmiemy pod uwagę to znaczenie połączenia ex-stasis, które przy-

pomni. „Bergiej Eisenstein w swojej „Nieobojętnej przyrodzie”, utożsamiając je z „wyjściem ze stanu normalnego”.

Kto czytał „Wspomnienia z domu umarłych” Flodora Dostojewskiego, ten pamięta przejmujące rozdziały, jakie autor „Zbrodni i kary” poświęcił przedstawieniu teatralnemu przygotowanemu w święta Bożego Narodzenia przez katorżników. Niektórzy spośród tych, co na co dzień nosili katorżnicze stroje i kajdany na nogach, mogli przez krótki czas zagościć na scenie w kostiumach aktorów i przemówić ich językiem. Potrzeba bycia innym, występująca może najostrej w trakcie karnawału, była szczególnie silna tam, gdzie struktura społeczna była silnie utrwalona, dystans wyraźny, a nadzieja na rewolucyjną odmianę swojego losu — daleka. Stąd może najbardziej intensywnie swoje karnawały przeżywały społeczeństwa niewolnicze i feudalne, o ile oczywiście istniał w nich pewien materialny wolności umożliwiający w ogóle na mocy zwyczaju kontynuację tego rodzaju zabaw.

Pierwsze silne ciosy zadały dopiero karnawałowi społeczeństwa kapitalistyczne, odrzucające większość pozaekonomicznych form przymusu i wprowadzające formalną równość ludzi wobec prawa. Ta formalna równość usunęła m.in. jedną z podstawowych przesłanek karnawałowej zabawy, która była chęć zmniejszenia dystansów społecznych. *Tłusty czwartek w Krakowie* — pisze Łukasz Golebiowski w ogłoszonym w 1831 roku dziele „Gry i zabawy różnych stanów w kraju całym, lub niektórych tylko prowincjach” — *combre nazwany powszechnie. Od świtu pospólstwo przy odgłosie hucznej muzyki, wśród płasów i tanów, tudzież obficie wuchulanych kieliszków, gromadami chodzi po ulicach. W tym dniu od jego napaści nikt wolnym nie był; pieszo idący obskoczeni, do wspólnej z niemi ciągnięci zabawy, jeśli się okupem nie wyzwolili, pomimo chęci do ich grona musieli należeć. Dworzani i kraju urzędników zatrzymywano w pojazdach, wysiadać musieli i datkiem wesoleń ożywiać. Wtenczas uwalniani i uściskani wśród radosnych okrzyków*

CO SIĘ DZIEJE

oddalić się mogli. Biedaków, lub tych, do których większa była poufalskość chwytano, czochrano za włosy, przy powszechniej wrzawie: comber, comber!

Pospólstwo spoufalające się, ale nie zanadto z dworzanami i urzędnikami kraju — oto bardzo istotna cecha karnawału, będąca zresztą pochodną bardzo silnej potrzeby społecznej. Jest teraz rzecz jasna, iż atrofia, jaką u nas przeżywa w ostatnich latach karnawałowa tradycja, nie bierze się tylko stąd, iż wszyscy jesteśmy zmęczeni, zaspokojeni przez telewizję i wrogo nastawieni do zabaw naszych babek i dziadków, lecz także stąd, iż istotne i odczuwalne jako szczególna uciążliwość dystans społeczne zostały w poważnej mierze zniesione. Pozwała to nam wykryć nie tylko sentymentalną i mglistą przyczynę obumierania karnawału, lecz także, jakby się można wyrazić, przyczynę socjologiczną. Nie ma sensu bawić się w króla tam, gdzie została unicestwiona monarchia. Nie ma sensu udawać wielkiego pana tam, gdzie panowie nie istnieją. Karnawał, jeśli u nas trwa w jakiejś okrojonej postaci, trwa na mocy zwyczaju historycznego, brak silnego i ważnego bodźca, który funkcjonując w obrębie naszej rzeczywistości, popychałby w jego stronę ludzi. Autorzy tu i ówdzie rozlegających się w prasie lamentów za karnawałem zapoznają tę prostą prawdę, iż rewolucja na niby w obliczu realnie dokonanej się rewolucji — nie jest nam nazbyt potrzebna. Analiza socjologiczna potwierdzałać prawdę, że karnawał na naszych oczach umiera, podaje jednocześnie najgłębszą przyczynę tego procesu, jaka jest narastanie równości. Uważna obserwacja karnawałowej

tradycji pozwala dostrzec z kolei fenomen inny. Ten mianowicie, iż w pewnych wyizolowanych wypadkach karnawał wykorzystywany bywa dla celów czegoś, co prawem analogii można byłoby nazwać kontrrewolucją na niby i co sprowadza się do wykorzystywania tego fenomenu kulturowego w celu podkreślenia swojej odmienności, pozycji i prestiżu, nie istniejących często w rzeczywistości. Obok karnawału, zdarza się, miewamy także antykarnawał, w którego trakcie ludzie wychodzą z siebie nie tylko po to, żeby wydać się sobie innymi niż są w istocie, lecz także po to, by przeżyć złudzenie, że są lepsi od reszty. Czymś innym jest bowiem uzurpacja karnawałowa, a czymś innym uzurpacja antykarnawałowa. Uzurpacja karnawałowa polega na zawłaszczeniu jakiejś istniejącej rolą społeczną, natomiast uzurpacja antykarnawałowa na zawłaszczeniu rolą nie istniejącą. Pierwszej patronuje swoisty demokratyzm, drugiej swoisty snobizm.

Czy należy z tych uwag wyprowadzić wniosek, że karnawał u nas prędzej czy później zemrze śmiercią naturalną? Odpowiedź jakiejś można tu udzielić musi być bardzo ostrożna. Znikły bowiem lub poważnie straciły na znaczeniu silne motywy karnawału, do których należy zaliczyć wyraźne i rozległe dystanse społeczne obrastające masą wyróżników i atrybutów prestiżu, lecz pozostał przecież ten niepodważalny fakt, iż wszyscy jakoś różniemy się między sobą i nie ma dwóch podobnych do siebie jak dwie krople wody indywidualności. Karnawał, przegrzywając na twardzi płaszczyźnie socjologicznej, może w dzisiejszych czasach wygry-

nikacyjne zespół dr. W. Pięcińskiego z WSI w Lublinie.

Ale wracamy do planu, bo warto przedstawić jeszcze kilka spraw. Ograniczona funkcja turystyczna, wynikająca zarówno z ograniczonego obszaru zabudowy w kotlinie jak i ograniczonego obszaru chronionego krajobrazu narzuca granice przyszłej wielkości zarówno miasta jak i najbliższych położonych miejscowości. Dziś w Kazimierzu ma dwa tysiące dwustu mieszkańców — maksimum przewiduje się na trzy tysiące. Ludność najbliższych wsi wynosi dwa tysiące i nie zwiększy się, ewentualna nadwyżka demograficzna będzie musiała przenieść się gdzieś indziej, chociażby ze względu na wspomniane już wyżej ograniczenia budowlane.

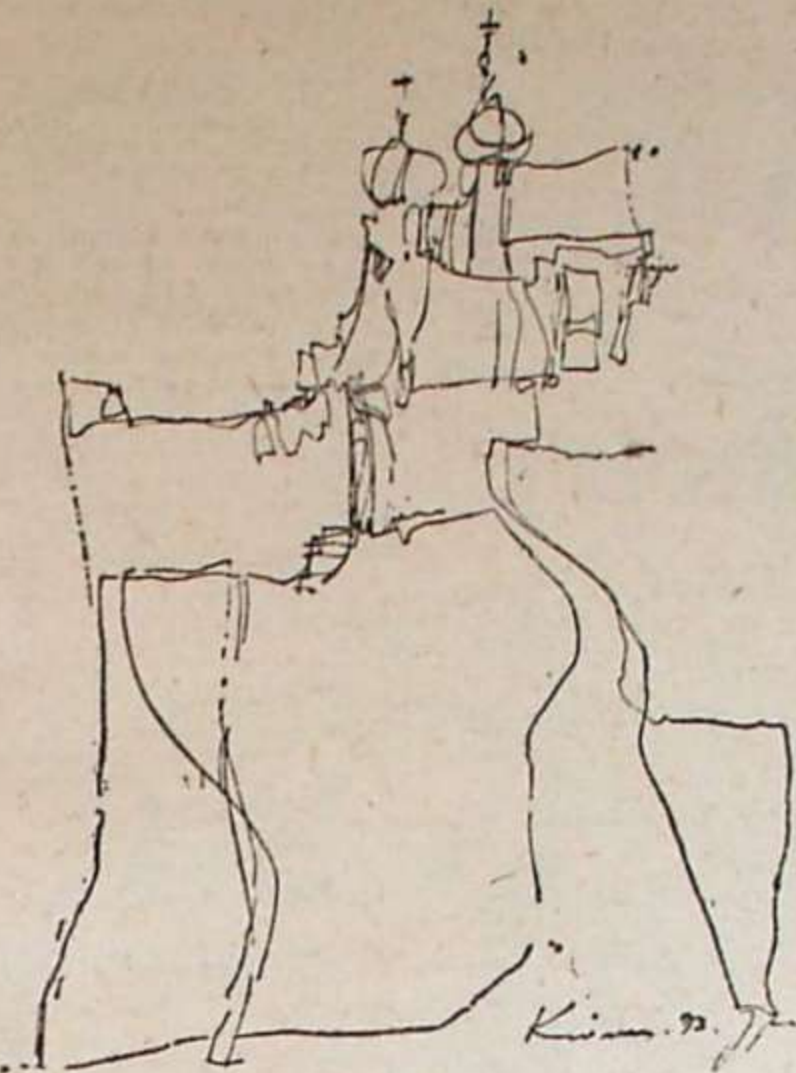
Wszystko to nie znaczy, że rejon Kazimierza, piękny krajobrazowo i korzystny zdrowotnie, będzie zamknięty dla masowej turystyki, tzw. pobytowej lub niedzielnio-świętecznej. W samym Kazimierzu powstaną dwa takie punkty. Jeden w rejonie spichlerza PTTK, drugi koło istniejącego wyciągu narciarskiego, a więc w punktach, które ze względu na odległość od centrum nie zakłócają atmosfery miasta, a jednocześnie będą położone nad Wisłą. Więc z jednej strony przeprawa promem w rejon Janowca, z drugiej może tor saneczkowy, dalsze hoteliki w spichrzach, dziś zajętych przez masarnię i wytwórnię owocowo-warzywniczą, małą gastronomię, urządzona plaża, bulwar. Marzą się też, cofki (od cofnięcia wody) — sztuczne zatoczki zrobione „do tyłu”, a w nich przystanie żeglarskie, kajaki, rowery i narty wodne...

Na obszarze wspomnianej otuliny żadnego ośrodka rekreacyjnego czy turystycznego. Wiadomo przecież, że nawet początkowo mały i tymczasowy ośrodek rozrasta się coraz bardziej, że potem powstaje drugi, trzeci itd. — wreszcie niszczy one te wartości, dla korzystania z których je budowano. Tak więc nie powstanie np. w rejonie Miecierz, co przewidywał poprzedni plan, nie będzie zabudowywana Albrechtówka. Natomiast koło Kwaskowej Góry, na granicy wsi Doły, powstanie motel czy zajazd, pod stokiem zaś osiedle spółdzielni mieszkaniowej, architektonicznie dostosowane do zabytkowej zabudowy miasta, ale mniejsze niż poprzednio projektowane. Istniejące zaś domy wypożyczkowe „Prasy”, „Architekta”, nie będą już mogły się rozszerzać.

Jest jednak oczywiście, że nikt nie powstrzyma administracyjnie naporu tysięcy ludzi, którzy będą chcieli spędzić wczasy w rejonie Kazimierza. W rejonie — zgoda, w samym Kazimierzu tylko kilkunastu wypadkami. A więc po drugiej stronie Wisły, w pasie od Janowca do Usiłowa, lokalizuje się domy wczasowe. Teren tu również piękny, za plecami duży kompleks leśny, a nachylony ku słońcu brzeg Wisły bardziej nadaje się do opalania i kąpiel, niż w Kazimierzu. Już nawet rejestruje się chętnych na pierwsze inwestycje Drugiego Kazimierza, jak się ów kompleks popularnie nazywa. Cieszy nas to bardzo, gdyż przed siedmiu laty i „Kamena” proponowała takie rozwiązanie. Ale to

sprawa osobna i warto się nią zająć przy innej okazji.

Oprócz wczasowiczów jest druga fala ludzi, którzy będą chcieli w dni wolne od pracy wypocząć tylko w rejonie Kazimierza. Dla nich właśnie utworzy się trzy ośrodki, z których każdy będzie



Jolanta Jakima: „Impresja z Kazimierza Dolnego”, rys. 1973

możliwość pomieścić około dziesięć tysięcy osób. A więc w Górce Puławskiej, Parchacie oraz Podgórzu i Dobrem. Np. w rejonie Parchatki zdaniem fachowców Wisła jest zbyt szeroka, a występująca w starorzeczu woda nie daje się ujarzmić. Przesuwając więc wal przeciwpowodziowy bliżej właściwego koryta rzeki, można stworzyć dużą „cofkę”, co z jednej strony wzbogaci krajobraz, z drugiej otworzy nowe możliwości rekreacyjne. Takich „cofek” czy zalewów można urządzić więcej, zarówno na Wiśle jak Chodelce czy Niecieczy.

Równoległe z planem Kazimierza został opracowany przez ten sam zespół autorski plan ogólny zagospodarowania przestrzennego wsi Bochońnica. Przewiduje się, że przejmie ona około trzech tysięcy turystów, odciążając Kazimierz, a częściowo

także Naleczów. Stąd też i w Bochońnicy obowiązują podobne jak w Kazimierzu ograniczenia co do liczby mieszkańców (docelowo dwa tysiące), zabudowy, ochrony sadów, stworzenia nienaruszalnej otuliny krajobrazowej, analogiczna ochrona liczących i tutaj wawozów itd.

W samym Kazimierzu największą przewidzianą do realizacji budową będzie ratusz, połączony z rozbudowanym urzędem pocztowym. Obiekt ten powstanie pomiędzy ulicami Tyszkiewicza, Nadwiślańską i Podzamczem. Ponieważ stanie on na skraju zabytkowej zabudowy centrum, bryła będzie rozczłonkowana, sprawiając wrażenie kilku osobnych obiektów. Wysokość nie przekroczy, tylko w pewnych fragmentach, dwóch kondygnacji, dzięki czemu nie ulegnie zakłóceniu widok na zabytkową panoramę. Od frontu proponuje się też podcienia na wzór podcieni na Rynku.

Podczas dyskusji z mieszkańcami plan Kazimierza został przyjęty przychylnie. Zastrzeżenia wysuwano wtedy, gdy właściciele działek stwierdzali, że właśnie przez ich teren pobiegnie uliczka, że zamiast postawienia domku będą musieli zasadzić drzewa. To istotnie w pewnym stopniu ogranicza swobodne dysponowanie działką, ale w niedalekiej przeszłości przekonałmy się przecież wszyscy, do czego prowadzi pełna swoboda. Jeżeli chcemy zachować wartości Kazimierza, ograniczenia takie są konieczne.

I na koniec dwie niedyskrete. W czasie opracowywania i akceptowania planu gorące polemiki wywoływała niezmiennie sprawa tzw. drugich domów — budowanych przez tych, którzy nie są stałymi mieszkańcami, a budują te domy nie tylko dla siebie na sezon, ale przede wszystkim celem wynajmowania pokoiów indywidualnym wczasowiczom. Otóż zezwolenia na budowę takich domków w zasadzie nie będą wydawane, gdyż prowadziłoby to do ponownego przeładowania miasta, stawiania namiotów, prowizorycznych garaży itp. Niepokoї mnie jednak usłyszane słowo w zasadzie. Dopuszcza ono bowiem wyjątki, najpierw jeden, potem trzy itd. Wiele spekulacji zrodzi się też na marginesie powodów, które doprowadziłyby do wyjątkowo udzielonego zezwolenia. Ta furta musi być mocno zamknięta.

I druga — ogrzewanie. Słusznie postanowiono zlikwidować piece węglowe. Projektowano doprowadzenie gazu ziemnego, ale przecież z różnych względów jest to nieaktualne, zdecydowano się na powszechne wprowadzenie ogrzewania elektrycznego. To rozwiązanie wydaje mi się bardziej słuszne, gdyż przy spalaniu gazu powstają jednak pewne ilości spalin, które w specyficznych warunkach położenia Kazimierza i wiejących tam wiatrów mogą gromadzić się w kotlinie, gdzie właśnie rozłożyło się miasto. A fakt, że architekci i elektrycy będą musieli w starych murach ukryć około trzydziestu trafostacji, wcale mnie nie martwi. Spórządzenie aktualnego planu zagospodarowania przestrzennego wymagało znacznie większej i trudniejszej pracy.

Z KARNAWAŁEM?

wać na płaszczyźnie psychologicznej. Fakt, że czyni to w nikłym zakresie, nie umniejsza jego szansy. Dostatecznie wyraźnie i jasno jesteśmy określeńni w naszym życiu społecznym, zawodowym i rodzinnym, by od czasu do czasu nie odczuwać prężności potrzeby stania się kimś innym, wypróbowania siebie w innej roli nie tyle społecznej, co indywidualnej, zagrania w sztukę, która nie została dla nas napisana.

Ta szansa karnawału wiąże się jednak intymnie z koniecznością odbudowy w naszym życiu tego, co określamy jako zabawę i co, za Johaniem Huizingą, przeciwstawiamy rozrywce. Otóż, jak wiadomo z „Homo Ludens” tego autora, zabawa zakłada zawsze bezpośrednio uczestnictwo, podczas gdy rozrywka ogranicza się do biernej percepcji zabawnych treści. Po to, by się zabrać, trzeba tkwić w samym centrum zabawnych wydarzeń, po to natomiast, by się rozerwać, wystarczy je śledzić. Masowe środki przekazu informacji zadają ogromne ciosy zabawie i zastąpiły ją rozrywką, co nie znaczy, iż w praktyce dystrybucji treści kultury w naszym nie możemy się przeciwstawić ekspansji telewizji, radia czy wielkonakładowej prasy. Ci, którzy demonizują impetyczny rozwój środków masowego przekazu, którzy, jak Pier Paolo Pasolini, domagają się wręcz likwidacji najpotężniejszych spośród nich, co we współczesnym, rozwiniętym społeczeństwie jest koncepcją całkowicie utopijną, zapominają, iż istnieje pewien próg ich wpływu na serca i umysły, że poczynając od pewnego momentu przekształcają się one z odświętnego i frapującego elementu naszego życia duchowego, w element powszedniący,

a nawet wzbudzający irytację. Niewątpliwie obok zjawiska silnej i zdecydowanej fascynacji telewizją, radiem i wielkonakładową prasą, istnieje zjawisko słabej i nieśmiałej niechęci do przeznaczania tym instytucjom gros naszego wolnego czasu i im więcej masowe środki przekazu nas podbijają, tym częściej pragniemy wydestawać się z zasięgu ich wpływu.

Ta ostatnia tendencja, na której można oprzeć zarówno dobrze pojętą zabawę, jak i żywszą nieco kulturę, jest często niedoceniana. Przeświadczenie o diabolicznej mocy masowych środków przekazu jest tak silne, iż aparat tradycyjnie pojętej kultury rzadko kiedy próbuje z nimi rywalizować, choć mógłby. Skoro mało kto dba o karnawał w rzeczywistości, wszyscy zaczynają na gwałt oglądać karnawałowe audycje telewizyjne. Zaspokajają one naszą potrzebę oglądania i słuchania rozbawionych ludzi, lecz jednocześnie nie pozwalają, żebyśmy bawili się sami, a przy okazji rozbawiali innych. Zwycięstwo masowych środków przekazu, ich tryumfalne wdarcie się w sferę naszego czasu wolnego nie jest jednak koniecznością dziejową, lecz wynika z naszego własnego zaniedbania. Koniec końców pragniemy być ludźmi aktywnymi nie tylko w pracy, lecz także w zabawie. Niechęć kobiet do tańców publicznych w Resursie przed stu laty nie wzięła się przecież z ich lenistwa i zgnębnienia, lecz stąd, iż instytucja zabaw publicznych zaczęła być już powoli wypierana przez instytucje zabaw domowych, mniej oczywiście wystawnych, tańszych i skromniejszych,

Jak się zdaje, nadszedł chyba czas, byśmy w tych sprawach przestali przedwczesnie pościć i posypywać sobie głowy popiołem niemożności. Wielka, ludzka potrzeba bycia czy stawiania się kimś innym, chociaż na krótki czas uczestnictwa w zabawie, nie może być zaspokajana tylko połowicznie i jednostronnie poprzez mechanizmy projekcji i identyfikacji, wiążące się z pracą środków masowego przekazu. Karnawał w naszym kręgu kulturowym stracił swoją integralność, rozpadł się na poszczególne części i atomy, nie tworzy w chwili obecnej żadnej całości, coraz trudniej jest zlokalizować go w czasie i w przestrzeni, ponieważ formy zabawy karnawałowej coraz bardziej upodabniają się do form stereotypowych, znajdujących się w obiegu przez okrągły rok. Utrzymują się gdzieś tam wyspy karnawału, brak natomiast ogarniającej całą społeczność atmosfery karnawałowej, co wiąże się z ogólniejszym procesem wypierania zabawy przez rozrywkę. O ile nie ma może potrzeby lamentowania na temat przemijającego karnawału, lamentowania, które rozlegało się już w naszych tygodnikach od wieku z okładem, jest potrzeba pewnej refleksji nad klęską karnawału, jako porażką zabawy w ogóle. Możemy bowiem pogodzić się ze stratą karnawału, nie możemy jednak nie dostrzec, iż jego odejście czy odchodzenie jest symptomem tych wszystkich trudności, jakie Homo Faber, pragnący być od czasu do czasu do czasu Homo Ludens, ma z zabawą.

Nasza publicystyka poświęca wiele uwagi temu tematowi. Pisze się dużo i często o indolencji instytucji mających ułatwić nam zabawę, o brakach naszego przemysłu wrażeń, o trudnościach, jakie w tym względzie panują w obrębie tradycyjnego aparatu dystrybucji treści kulturalnych. Mniej uwagi poświęca się analizie tych zjawisk naszego życia, które powstrzymują nas przed autentycznym uczestnictwem w zabawie, sprawiają, że angażujemy się w nią nie tak szczerze i autentycznie,

jakby to było pożądane. Obok barier instytucjonalnych zdają się tu istnieć także pewne bariery psychologiczne. W końcu zabawa, jakakolwiek jest, to forma ekstazy, wychodzenia z samego siebie, stawiania się kimś innym, często postacią szokującą otoczenie swoją ekstrawagancją. Z tych względów uczestnictwo w zabawie wymaga sporej tolerancji wewnętrznej i zewnętrznej, umiejętności zżycia się z narzuconą sobie rolą, a także tolerancji wobec pozostałych uczestników zabawy. O ile u podstaw tej ekstrawagacji znajdujemy czynniki bezinteresowne, nie ma żadnych powodów, by pod ich adresem kierować słowa obyczajowego czy moralnego potępienia. Po to, by się bawić, trzeba umieć wywoływać w sobie dyspozycję do zabawy i umiejętność przemrużenia oka na jej ekstazyne formy, co w dzisiejszych czasach wcale nie jest rzeczą łatwą. Gdyby porównać ze sobą dwie wielkie sfery aktywności ludzkiej, sferę pracy ze sferą zabawy, można dojść do wniosku, że sfera pracy jest koniecznym warunkiem istnienia społeczeństwa, podczas gdy bez zabawy można się obyć. Istotnie tak jest, ale jedynie na krótką metę. W odróżnieniu od produktów pracy, produkty zabawy zdają się być ulotne i krótkotrwałe, ale znaczenie zabawy nie polega na trwałości wytwarzanych przez nią treści lecz inspirującym wpływem kulturalnym, jaki na nas wywierają. Rzecz można, iż produkty pracy scalają i cementują nasze życie, zaś produkty zabawy rozluźniają je nieco, wzbogacają i sprawiają, iż potrafimy na nie spojrzeć świeżym, zaskakującym i odtrywczym wzrokiem. Brak lub niedostatek właściwych form zabawy jako konsekwencję rodzi formy kalekie, szkodliwe i bezużyteczne. Skoro karnawał u nas umarł lub umiera, zakrzyknijmy: niech żyje zabawa! Ostatecznie po to mamy głowy na karku, żeby nasza epoka i w tej dziedzinie nie oysa ostatnią.

Wojciech Roszewski

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie oraz Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich przyznały dwie nagrody: poetycką im. J. Czechowicza i prozatorską im. B. Prusa (obie po 5000 zł). Nagrodę poetycką otrzymał Bohdan Zadura, a prozatorską — Janusz Oleczak.

Niżej zamieszczamy recenzję Stanisława Jana Królka ostatniego zbiorku poetyckiego Bohdana Zadury.

Przy okazji przypominamy, że o Januszu Oleczaku publikowaliśmy tekst osobny i drukowaliśmy fragmenty jego prac.

Bo wedle dawnej składni nie składa się świat

Stanisław Jan Królik

Z ADEBIUTOWAŁ Bohdan Zadura książką w sposób zgoła doskonały. Tom wierszy „W krajobrazie z amfor” poprzedzony został przez wydawcę kilka miesięcy wcześniej, w roku 1962, miniaturą powieści („Lata spokojnego słońca”), w której autor zawarł coś pośredniego pomiędzy „spowiedzią dziesięcioletnia wieku”, a lirycznym notatnikiem, sprawozdaniem z obserwacji, przeżyć, rozmów i wątpliwości oraz lektur. Słowem, sytuacja była wspaniała. Książka poetycka zapowiedziana została pozycją, którą można — pomijając inne jej walory — traktować jako wprowadzenie, manifest. W wyrafinowanej formie przedstawił się Zadura pisarzem inteligentnym, posiadającym znakomite opanowanie warsztatu, wrażliwym zarówno na proces twórczy, jak i problemy związane z odbiorem twórczości przez siebie literatury.

Debiutancki tom pozbawiony był najmniejszej skazy formalnej. To i — jak się dzisiaj wydaje — zbyt duże zaufanie do grupowej poetyki tzw. neoklasycyzmu, przyjętej poniekąd sztucznie, wpływa na niewielką trwałość dotychczasowych wierszy autora „Podróży morskiej”. Wymienione powody stanowią — zarazem — świetny kontrpunkt dla „Pożegnania Ostendy”, nowego tomu poety.

Istnieją jednak fragmenty, które już w książce „W krajobrazie z amfor” zdawały się zapowiadać taką właśnie konwencję:

gramy bez słowa w starych dekoracjach
z ciemnością w sercu z drwiną pod językiem
młczące w lata wchodzi pokolenie
by odbyć długą i jutową podróż
pańskie jak ściera w wystygłym popiele
lecz sąd nie ujdzie żaden prawom sąd
(„Qui tacet...”)

Szczególnie przedostatni z cytowanych wersetów wydaje się być demaskatorskim odwołaniem semantycznym strofy Norwida, wyzyskanej niegdyś jako motto przez Andrzejewskiego.

Napięcie dramatyczne i efekt odwrotny — zarówno — wydobywa się najpełniej przez świadome zaprzeczenie emplot wypowiedzi. W „Pożegnaniu Ostendy” z zabiegami takim spotykamy się niemal na pierwszej stronie:

Snieg tobie w oczy sniegu przymy
Abys nie wiedział o czym każdy wie
Kwas mlekowy w mięśnie knebel
Sen chłodny ranem które światem
Adrenalina w serce łąg z ciałych sił
Bys nam nie umarł byś nam jeszcze
żył
(„Projekt bohatera lirycznego”)

Wiersz, poświęcony pamięci Rafała Wojaczka, wprowadza czytelnika w odmienny, od dotychczas w poezji Zadury spotykanego świat zagadnień i znaczeń. Pozostaje dawna wersyfikacja, pozostaje rym, przyspieszeniu ulega rytm, przybiera konkrety. Bohater utworu nie występuje na koturnach książęcia duńskiego. Właśnie, mamy do czynienia z „bohaterem lirycznym” a nie polonistycznym podmiotem wiersza. Dopelnienie odszukamy w wierszu „Elenium”:

Albo zasnąć zasnąć i przeźnić
Bez snów sen choćby miał być
Znajdujemy się już dosyć daleko od papierowego świata imitowanych klasyków, od „zabawy w literaturę”. Kiedy to „potrafiłszy na siebie patrzeć z przynurzoną okiem”. W tym nowym świecie:
Przyjaciel
Donosił w liście że wybrał świadome
szaleństwo
(„Zapis”)

W innym miejscu obserwacja opiera się na oddzieleniu, ogólnie dostępnej lecz uzupełnionej przez doświadczenie autora, obserwacji:

Zas łwiat
Powraca do form przeszłych i w noc
wagilną
Płyną porwane z portu kanonierki
I gazety czytamy jak niegdys
w dzieciństwie
Powieści o skarbach piratów
porwaniach
A ty licz pociągi przejeżdżające przez
noc
(„Kanonierki z Cherbourg’a”)

Ten niemal łagodny obrazek, wywodzący się pozornie z młodzieńczego zaufania do lektury, tyle że tym razem gazet, rzucony jest na tło ogólniejsze, zarysowane na początku wiersza:

Koniec lat sześćdziesiątych
I nie wiecie już
Znicz olimpijski beztraskiej młodości
Chwieje się gwiazda
Lanie papilarna
Młczą i trudno z nich odczytać coś
Pisarstwo Zadury cechuje poszukiwanie harmonii, klasyczne wynajdywanie czy też odkrywanie porządku w otaczającym nas, nie zawsze najprezestszym Kosmosie (tutaj: w znaczeniu pełnego zbioru rzeczy, zjawisk i myśli wokół i wśród których przychodzi nam żyć). Język, pozornie zdolny wyrazić wszystkie niuanse i półtony nie unosi — mimo swojej gęstości — wszystkich znaczeń. Pada pytanie o szeroki kontekst i mitykę.

Ostatni tom Zadury zawiera kilkanaście najnowszych wierszy, cykl „Z oktostychów zimowych” i poemat tytułowy „Pożegnanie Ostendy”. Autor dokonuje w poemacie obrachunku z dotychczasową swoją, i w tym samym nurcie piszących poetów, twórczością. Konkluzja jest, oczywiście, negatywna:
I jest kwiecień Anno Domini 1970
I to czego zapominam i to co

Domaga się nowej składni lub
lub milczenia

Nie to jest jednak najbardziej ciekawe. Ważne jest, że Zadura nie wybrał „świadomego szaleństwa”, pozostał sobą w momentach wartych kontynuacji, tak jak pozostał sobą autor „Piątej pory roku” reagując na aktualne wypadki. Takie kontynuacje są szczególnie cenne, gdy — tak jak obecnie — sinusoida wprowadzona ongiś przez Juliana Krzyżanowskiego dla oddania przemienności prądów i okresów literackich, zmienia swoje położenie z niebywałą prędkością.

„Pożegnanie Ostendy” już w tytule, nawiązuje do poematu Zadury „Ostenda” — napisanego jako cykl dziesięciu sonetów W „Pożegnaniu...” treść zamknięta jest (może właściwie; rozproszona) w trzynastu epizodach, z jednym wyjątkiem opartych na zasadzie sirof trójwersowych o zróżnicowanej długości wersetu. Pomiędzy innymi warstwą utworu znajduje się płaszczyzna, która tłumaczy wcześniejsze poczynania poetyckie autora i kręgu neoklasyków. Upraszczając, wyliczki w czasie i przestrzeni (tytułowa Ostenda) miały cel kompensacyjny. Uzupełniały doznania o rejonach trudnodostępnych lub niemożliwych do innego sposobu lustracji. Tłumaczenie wpisane w tok poematu dyskursywnego częstokroć przekonuje bardziej niż liczne dotychczasowe manifesty i szkice, jakich nurt neoklasycyzm nie szczędził. W tym właśnie miejscu potwierdza się słuszna ocena „nowej składni”, jaką poeta zastosował.



Anna Czarńa



Eliza Florakiewicz



Ryszard Kojak



Ewa Morawska



Janusz Satejman



Edmund Ulma

MILIONERKA



Maria Rajtar

URODZIŁA się w Świeciechowie, niezbyt daleko od Lublina. Nie miałyby to większego znaczenia gdyby nie czasy, które właśnie radykalnie zmieniły perspektywy życiowe młodego pokolenia. Więc edukacja nie skończyła się w miejscowej szkole podstawowej. Młoda dziewczynka ukończyła liceum chemiczne w Lublinie, a potem już panna Marię i z nakazu pracy została asystentem technicznym w ówczesnej Dyrekcji Okręgowej Szkoleń Zawodowego w Gliwicach.

Na miejscu zaskoczenie było duże, jakoś o tym wcześniej nie pomyślała: została przecież nauczycielką ludzi dorosłych. Dwudziestoletnia „pani profesor” wcale niezdolna zmazywała tablicę dwa razy starszym od siebie uczniom przed ich przepytaniem. Przekonała się wtedy, że nie lata i nie stanowisko wyrabia człowiekowi autorytet, ale wiedza, takt, umiejętność podejścia do ludzi.

Pewnego dnia doszła do wniosku że na maturze edukacja też nie musi się skończyć — i zapisała się na Wydział Chemiczny Politechniki Śląskiej w Gliwicach. W czasie studiów zainteresowała się szczególnie korozją metali, kierunkiem, który poza pracownikami naukowymi był wtedy w powijakach. Prace dyplomowa wykonała w zakładzie korozji Instytutu Metalurgii w Gliwicach i już jako pani inżynier przepracowała tam dwa lata.

Tak się stało, że pewien student medycyny — dziś dyrektor jednego ze szpitali — ułatwił jej otrzymanie pracy w lubelskiej FSC, co prywatnie doprowadziło do małżeństwa.

FSC bardzo poszukiwała ludzi z dyplomami wyższych uczelni, ale do kobiet-inżynierów nikt wtedy nie miał specjalnego przekonania. Do pracy naturalnie przyjęli inżynier chemik — nawet w spódnicy — chyba się przyda w dziale Głównego Technologa. Maria Rajtar była wtedy jedyną kobietą-inżynierem w FSC, nie obeszło się więc bez pewnej podejrzliwości, dającej się streścić w pytaniu: co też ona potrafi?

Zdarzały się nawet drobne stołowości. Ale z drugiej strony odczuwała zawsze życzliwość, serdeczną pomoc i opiekę szefa działu, inż. Jerzego Napiórkowskiego, zarówno wspaniałego fachowca jak i człowieka delikatnego oraz przychylnego ludziom.

Któregoś dnia inż. Maria Rajtar zobaczyła na jakiejś ścianie w fabryce ogłoszenie o konkursie pod hasłem „Mój pierwszy projekt”. Była to szczególna szansa dla debiutantów. Więc pani Rajtar po gruntownym przemyśleniu tematu, zrobieniu wielu obliczeń i rysunków, „przymierzaniu” projektu do konkretnych warunków w FSC, nie bez przejęcia zgłosiła projekt „Wprowadzenia wyrobów malarskich nieocynkowych na części samochodu Żuk w miejsce wyrobów malarskich nitro”.

Na rozstrzygnięcie konkursu trzeba było trochę poczekać, bo komisje konkursowa wprost zasypano projektami. I wreszcie — wspaniałe zwiastwo — za pierwszym razem Komisja przyznała pierwszą nagrodę, korzyść dla fabryki obliczyła na 90 tys. zł w ciągu jednego roku, dodając, że projekt inż. Rajtar spełnia jednocześnie wszystkie warunki konkursu: polepsza organizację pracy, zwiększa jej mechanizację, zmniejsza pracochłonność, poprawia warunki bhp

— Wtedy jednak przekonałam się — wspomina dzisiaj — że dyrekcje fabryk często bardzo wiele ryzykują wprowadzając projekty racjonalizatorskie. Na papierze i w próbach jakby chałupniczych wszystko może pięknie wychodzić, ale gdy przyjdzie do praktycznego zastosowania w fabryce, bywa różnie. W związku z moim projektem w okresie urlopu załogi przebudowano wykańczalnie, zmieniono kilka innych rzeczy i wszystko się udało. Ale gdyby nie wyszło, trzeba by znów załogę posłać na dwutygodniowy, może nawet miesięczny urlop przymusowy, aby przywrócić dawny układ i dawną technologię.

I tak się zaczęło. Do dzisiaj inż. Maria Rajtar ma na swoim koncie 23 projekty racjonalizatorskie. Dały one fabryce osiem milionów złotych zysku — zauważyć zaś trzeba, że liczy się tylko zysk pierwszego roku po wprowadzeniu projektu w życie.

— Moje projekty — mówi inż. Maria Rajtar — nie są jakimiś wielkimi osiągnięciami naukowymi, nie o to przecież chodzi w praktyce produkcyjnej. Zresztą może jeszcze będzie jakiś patent... Ale w każdym razie mam olbrzymią satysfakcję że przejęłam się w fabryce jako pożyteczny pracownik, że chyba nie smarowałam swoich możliwości.

Doceniają to również inni. Inż. Rajtar wyróżniona została odznakami Racjonalizatora Produkcji, Zasłużonego dla FSC oraz Związku Zawodowego Metalowców. Niedawno w nagrodę brała udział w wycieczce do ZSRR.

Przy okazji warto podkreślić, że lubelska FSC jeżeli chodzi o racjonalizację (i nie tylko o nią) przoduje w kraju. Na ubiegłą pięcioletnią racjonalizację fabryki ustalili sobie plan na osiemdziesiąt milionów, co wydawało się sumą niezwykle wysoką. Ale wraz z przyspieszonym tempem rozwoju całego kraju i racjonalizatorzy FSC dali znacznie więcej. Z różnych okazji podwyższali sobie plan — ostatnio dla uczczenia VII Zjazdu PZPR o osiem milionów złotych — i ustalili go ostatecznie na sto trzydzieści trzy miliony złotych. Ale już w końcu listopada osiągnęli sto czterdzieści dwa, mając w sumie pięć tysięcy dwieście projektów

(dost)

KONIEC TAJNEJ MISJI

Niżej drukujemy dokończenie wspomnień generała brygady Artura Jastrzębskiego, który w czasie wojny jako Artur Ritter pracował w wywiadzie radzieckim, będąc formalnie członkiem SA. Wspomnienia — w opracowaniu Stanisława Majewskiego.

PEWNEGO dnia wtargnęło do mego mieszkania gestapo, wlokąc ze sobą łączniczkę jednego z pracowników wywiadu. Zarówno ów wywiadowca, jak i jego łączniczka wiedzieli o działalności Hrynkiwicz w „Mieczu i Pługu”. Znalali też moją osobę. Ratując życie zeznali, że pracują dla „Miecza i Pługa” jako „wtyczki w szeregach PPR”, a więc oskarżenie ich o działalność komunistyczną jest straszliwą pomyłką, albo czyjąś prowokacją. Nie znali oni bezpośredniego doświadczenia do „Aleksandra”, pozostało im jedynie powołać się na mnie. Ja zaś nie wiedziałem o aresztowaniu tych ludzi, a co gorsze nie wiedziałem, jak tłumaczyli się w gestapo.

W pierwszym odruchu oświadczyłem, że nie znam doprowadzonej kobiety; miała zresztą włosy zmierzwiłone, na twarzy ślady bicia, oczy podpuchnięte.

— Jakże to!? — wykrzyknęła mi twarz aresztowana łączniczka.

— Nie zna mnie pan?... Przecież to pan posłał mnie do PPR z „Miecza i Pługa”!

Gestapowiec godził w nas wzrokiem jak sztyletami.

Z tych kilku słów, wypowiedzianych erwowo przez łączniczkę, w mig zrozumiałem, jaką przyjęła linie obrony.

Zachowałem spokój. Poprosiłem jednego z gestapowców do sąsiedniego pomieszczenia i z miejsca zatakowałem go w ordynarny sposób za zamieszanie, wywołane w moim prywatnym mieszkaniu, i za wręcz karygodną ignorancję zasad konspiracji. Przywołując do mnie aresztowaną „naszą agentkę” ujawniają jej osobę przed niepowołanymi ludźmi!

Gestapowiec wysłuchał mojej napaszczy i sięgnął po słuchawkę telefoniczną. Wykręcił jakiś numer. Czekając, aż ktoś odezwie się po drugiej stronie.

Teraz wszystko zależało od tej rozmowy.

Telefon dzwonił długo, nim wreszcie nastąpiło połączenie. Gestapowiec, powtarzając swoje słowa, informował kogoś o tym, co zaszło.

Tymczasem ktoś kazał mi czekać przy telefonie. Trwało to kilka, może kilkanaście minut. Mnie wydawało się wtedy, że trwa to całą wieczność. Żeby nie stracić rezonu, bez przerwy mówiłem o zasadach konspiracji, tłumaczyłem, jak należy postępować w takich przypadkach, znowu ganiłem ostrą gestapowca za doprowadzenie zatrzymanej kobiety do mego mieszkania...

Brzęczyk telefonu przerwał moją tyradę. Niemiec dźwignął słuchawkę i w kółko powtarzał swoje: ja... ja... sehr gut... gut... aufwiedersehen! Skończywszy rozmowę natychmiast grzecznie przeprosił mnie za najście. Wróciliśmy do pokoju, w którym pozostawali dwaj gestapowcy z aresztowaną.

— Alles ist in Ordnung! — wykręcił ten, który prowadził rozmowę. Odeszli.

Kiedy zamknęły się drzwi, opadły mnie siły. Byłem zdruzgotany. Gdyby zawrócili nagle, nie wiem, czy potrafiłbym grać dalej. Miałem za sobą zbyt ciężką próbę.

W darzenie to miało miejsce kilkanaście dni przed wybuchem Powstania Warszawskiego. Wtedy miałem już polecenie Centrali przejścia z niektórymi ludźmi przez linię frontu.

Nie zwlekając wybiegłem z mieszkania na wcześniej już uzgodnione spotkanie z Hrynkiwiczem. Postanowiłem nie wracać więcej do tego domu. Zone z dziećmi, na szczęście, ulokowałem w Świdrze pod Warszawą. Narzuciłem długi płaszcz cywilny, okrywający mundur SA-ma-

wo trafił na jakąś poważniejszą aferę polityczną, organizowaną przez jego przełożonych ale... jeśli tylko jego prynypalowie wnika głębiej w sprawę — wpadka będzie nieuchronna.

Bliskość wyzwolenia potęgowała jeszcze bardziej napięcie nerwów. Starzy konspiratorzy dobrze znają to uczucie. Za problem wolność i nadzieja na zwycięskie zakończenie misji a tu — gestapo na karku...

Po porozumieniu się z „Aleksandrem”, idąc ulicą Nowogrodzką natknąłem się na towarzyszkę Krystynę Kowalską, która w tym czasie pełniła funkcję sekretarza PPR w Warszawie.

We bodaj...
wybu...
go —
swob...
Niemo...
dzieck...
wały...
przed...
karku...
cze hi...
wała...
przeł...
nigdy...
Na...
styna...
wiozła...
naz...
SA-ma...

ŻYCIE NA KRAJU

na. Czapkę wciągnąłem do teczki. Z wyglądu byłem mieszcuchem, w każdej chwili jednak mogłem przybrać postać umundurowanego SA-mana.

Hrynkiwicz czekał już na mnie w umówionym miejscu. W pewnej odległości, po przeciwnej stronie ulicy, spacerowali ostanijacy nas towarzysze, z bronią gotową do strzału.

Zrelacjonowałem „Aleksandrowi” przebieg wydarzeń. Obaj nie wiedzieliśmy jednak, kto jeszcze — oprócz łączniczki — znalazł się w łapach gestapo.

Rozstaliśmy się. Ja miałem niezwłocznie podążyć na wschód. Hrynkiwicz postanowił natychmiast, po zlikwidowaniu najważniejszych spraw, uczynić to samo.

Wprawdzie gestapowiec przeprosił mnie, przekonany że przypadko-

— Co z tobą? Czemu tak źle wyglądasz? — zapytała mnie.

— Jestem „spalony”, muszę wiać, ale nie mam żadnych dokumentów.

— Masz jakąś fotografię, która będzie nadawać się do kennkarty?

Miałem przy sobie taką fotografię. Wręczyłem ją Krystynie, która nie pytała mnie o nic więcej. Chciała tylko wiedzieć, na jakie nazwisko ma być wystawiony dokument.

— Niech będzie Jastrzębski — zdecydowałem bez namysłu.

Takie nazwisko nosiła już moja żona. Umówiliśmy się z Krystyną, że dokładnie w tym samym miejscu spotkamy się następnego dnia.

Do Świdra podążałem niechotą, wybierając drogę wzdłuż torów „ciuchci”. A w ogóle „ciuchci” działały się wtedy rzeczy wręcz przekomiczne. Pozwolił sobie dlatego na małą dygresję.

dokum...
dnak...
trzeba...
Dwa...
przyby...
rym m...
li czer...
pesze...
german...
dzawy...
należy...
frv. s...
pak m...
stko t...
tylko...
Mus...
nigdy...
rze ni...
sie u...
dziło...
ki” ni...
Znał...
noarm...

Okno -lita sztyki

W przestrzeni

JULIUSZ Kleczek zajmuje się architekturą wnętrz. Jest w tej dziedzinie bardzo aktywny, według jego projektów zrealizowano np. niektóre obszerne pomieszczenia Akademii Rolniczej (hall rektorski z malarstwem ściennym), Wyższej Szkoły Inżynierskiej, rozgłośnia radiowej, biblioteki UMCS (hall główny). Opracował również wnętrza lubartowskiej restauracji „Astra”, znakomicie poradził sobie z dostosowaniem sklepu spożywczego i mieszkania do potrzeb kawiarni, zwanej dziś „Malinowa”. W tej swojej pracy stosuje różne tworzywa, chętnie korzysta z drewna, kamienia i szkła, często wprowadza do wnętrza własne malarstwo ścienne i mozaikę. W pomieszczeniach, które wyko-

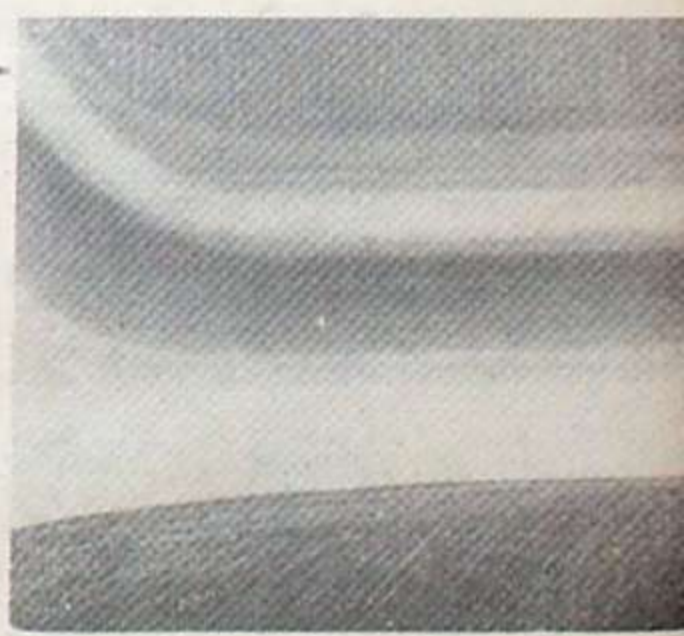
nał, panuje przecież ład estetyczny i porządek funkcjonalny, a formy plastyczne korespondują swoją treścią z charakterem miejsca ich lokalizacji. Juliusz Kleczek jest zatem sprawnym fachowcem, który dobrze opanował to całe zaplecze architektury wnętrz, jakie wyznacza tzw. myślenie inżynierskie, technologiczne, matematyczne. Troska o wspomniany już ład estetyczny zmusza zarazem do rozpatrywania realizacji lubelskiego plastyka w kategoriach twórczości, której istota zawiera się w klimacie emocjonalnym uformowanej przez autora przestrzeni architektonicznej, w jej urodzie.

Juliusz Kleczek zajmuje się również rzeźbą pomnikową, współpracując w tej dziedzinie ze Stanisławem Strzyżyńskim. Mało kto wie, że pierwsza w Lublinie abstrakcyjna rzeźba „publiczna”, połączona zresztą integralnie z obiektem architektonicznym („Chatka Zaka” w dzielnicy uniwersyteckiej), jest właśnie jego dziełem. Kleczek autoryzował również wertykalną, złożoną z trzech połączonych „słupów” formę pomnikową, stojącą przy ul. Raabego i wieńczącą cokół z hasłem ideowym UMCS „Walka — Nauka — Praca”. Za najbardziej realizację absolwenta wrocławskiej PWSSP (1952) należy przecież uznać czytelną w swej symbolice i klarowną w formie Pomnik Lotnictwa na terenie wyższej szkoły oficerskiej w Deblinie, rezultat konkursu który zakończył się sukcesem lubelsko-należczowskiego debła. Opinił też nie może przekreślić owa czytelność symboliz-

na, nieco nadmierna przez wprowadzenie w rzeźbiarską „taśmę” — znak samolotowej petli — ażurowej sylwety odrzutowca. Wśród projektów, które z różnych względów nie doczekały się realizacji, na uwagę zasługuje „Pomnik Ofiar Majdanka”, za który J. Kleczek i St. Strzyżyński otrzymali I nagrodę i wyróżnienie w konkursie ogólnopolskim (1967).

Juliusz Kleczek uprawia także malarstwo sztalugowe i jest to działalność równoległa do omówionej, a przy tym ujawniająca ten sam typ wrażliwości plastycznej. Skłonność do operowania ograniczonym reпертуarem form, do eksponowania zasady porządkującej przestrzeń — wnętrza, obrazu — do kompozycji zrytmizowanych, te oto cechy dostrzec można w całej twórczości lubelskiego artysty, a przynajmniej w tej części dorobku, który powstał w ostatnich 6—8 latach. Znamienne jest to tytułowanie wielu obrazów słowem „Przestrzeń” (I, II, XV, XX...), znamienne w sytuacji kogoś, kto projektuje przestrzenne formy rzeźbiarskie i wnętrza obiektów użyteczności publicznej...

Obrazy, które obok fotografii realizacji użytkowych pokazał Kleczek na styczniowej wystawie indywidualnej w lubelskim BWA, posiadają oczywiście wartości własne, tożsame choćby z subtelnie rozłożonym światłem, potęgującym wewnętrzną ruchliwość żłobionych niemal w farbie i równoległe nakładanych, płynnych linii, wychodzących łakby zza ramp płócien i niknących poza nią. Działała na wyobraźnię te dramatycznie rozkołysane wstęgi linie — plastyczne metafory wlecznego ruchu materii. Ale tendencja do organizowania powierzchni płóciennej, do wyważania akcentów formalnych jest niemal wszędzie obecna. Charakterystyczne przy tym, że w pracach, gdzie skłonność ta słabnie, obserwujemy malarstwo chyba najlepiej, przekonujące w swej sugestii li-



rycznej. Dobre rokowania wynikają z faktu, że tego rodzaju płótna namalował Kleczek w kilkunastu ostatnich miesiącach.

Obecny etap twórczości artysty dziełi przepaść od kolorystycznych pejzaży, które wykonał ten malarz na początku lat sześćdziesiątych, nie mając zapewne pretensji do oryginalności. Czy jednak Juliusz Kleczek zupełnie zapomni o niegdysiejszych widokach ziemi naszej, skoro nie tak dawno temu pokazał w witrynie sklepu ZPAP landszafty urbanistyczne, cieszące się ponoć znaczną sympatią szerokiej publiczności? Kaprys? Chwila odpoczynku? Dwuznacznie pojmowane prawo każdego artysty do swobody decyzji? Czasami przecież dobrze jest zapomnieć o takich sprawach, jak kolorowa przeszłość, szkoła wrocławska, wdzięczne dekorowanie.

nie był taki, tuż przed Warszawskimi „Cuchcia” Rosjan do były już ratrole posu Warszawa, a na złamanie kadłub jess- bria” kurso- Otwockiem, jak gdyby

wet, kto mógł im wskazać na mnie? Sprawę tę rozwikłałem dopiero po wojnie i to całkiem przypadkowo. Podczas rozmowy z byłym oficerem kontrwywiadu Armii Krajowej dowiedziałem się, że byłem przez nich inwigilowany. Nie mogli prze- cież wiedzieć, że pełnię misję wy- wiadowczą.

Młodszemu lejtendantowi, który mnie aresztował, nadarzała się gratka: schwytał szpiega! Ja zaś mogłem ujawnić się tylko przed wyższym ofi- cernym sztabowym, nie przed pierw- szym wazym młokosem, zwłaszcza że sytuacja frontowa w tym sek- torze wciąż była bardzo płynna. Przed dwoma godzinami zaledwie znajdowaliśmy się na obszarze oku-

pseudonim i hasło rozpoznawcze. W eter popłynęła depesza. Nakar- miono mnie tymczasem i pozosta- wiono w spokoju. Po upływie dwóch godzin pułkownik Szewczenko wkro- czył rozpromieniony i dopiero teraz przywitał mnie, jak wita się bra- ta po długiej rozłące.

Przystąpiliśmy do roboty.

Na planie miasta Warszawy nano- siłem operacyjne dane o pozycjach obrońców Niemców.

Dwa dni później zjawili się w O- twocku również Czesław Skonieczki. Oczekiwaliśmy dalszych poleceń Centrali — tymczasem przybył z Mos- kwy do Lublina i przyjechał do nas do Otwocka pułkownik Szklarenko. Dookonałe orientował się w sytuacji politycznej i wojskowej w Warsza- wie. Kiedy zapytałem go, skąd tak bezbłędna znajomość realiów war- szawskich, usłyszałem coś w rodzaju komplementu, że właśnie poznał te realia z naszych meldunków.

Udaliśmy się do Lublina i za- mieszkaliśmy ze Skonieczkim w gma- chu radzieckiej komendantury. W dzień nie pokazywaliśmy się na mieście, jedynie nocą wychodziliśmy na spacer. Należało się liczyć z ewentualnością ponownego prze- rzucenia nas przez front na tyły wroga.

W Warszawie toczyło się powsta- nie. Głęboko wspominali ludzie, płoną- ło ukochane miasto. Pozostali tam również liczni towarzysze i bliscy współpracownicy, o których losach nic nie wiedziałem.

Wkrótce odlecieliśmy do Moskwy. Czas upływał nam na pisaniu spraw- zozdań z roboty okupacyjnej. Stop- niowo odpreżaliśmy się po kszmarze okupacji. Nasza miastka zakończyła się. Mogliśmy wracać do kraju, by oddać swe siły, wiedzę i doś- wiadczenie polityczne Polsce Ludo- wej. Napawaliśmy się wolnością.

Prawie wszyscy z naszej siatki, przeżyli wojnę. Zginął w Powstaniu Warszawskim jedynie nasz radiote- legrafista, którego nie zdążyłem poz-nać osobiście. Bogusław Hrvnkiewicz przechodząc przez linię frontu wszedł na minę i stracił nogę. Dziś żyje i mieszka w Warszawie. Odzna- czony został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za czter- dziesięcioletnią działalność polityczną i awansowany do stopnia pułkownika w stanie spoczynku. Mikołaj Tuma- now dożył sędziwego wieku w Pol- sce Ludowej i dumnie nosił na pier- sieni Krzyż Partyzancki.

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

DZI (V)

Artur Jastrzębski

okryłem je- zać się, że gnać po nie- i po moim om, w któ- wnie otoczy- ojeń w pe- nany jako... cer dowo- ał mnie, jak astacja, szy- zkołe chłom- że wszy- awiać będę rtwem.

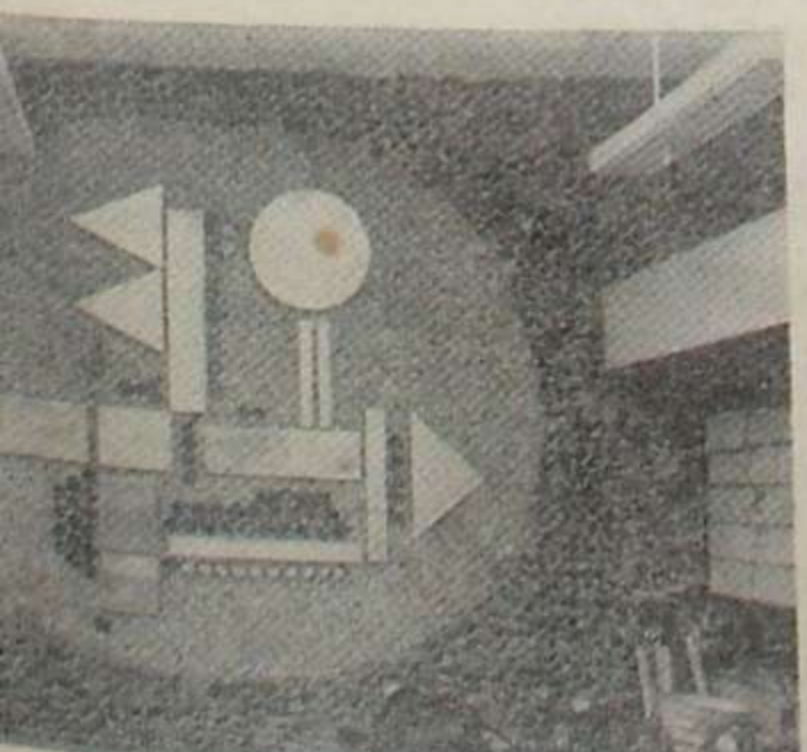
powanym przez Niemców, teraz wkroczyli już Rosjanie, ale za go- dzinę sytuacja znowu mogła ulec zmianie i kto wie, czy nie będę musiał powrócić do roli SA-mana, żeby dalej pracować na tyłach Niemców. Mogło też zdarzyć się i tak, że w wypadku nagłego kontra- tarcia Niemców ten młody oficer wcale nie będzie cackał się ze mną, „germańskim szpionem”...

Wyprowadzono mnie z domu pod lufami automatów. Sąsiedzi ukradkiem przypatrywali się spo- za firanek. Synek rozplakał się, widząc tatę wśród zbrojnej eskorty.

Odstawiono mnie pod czułym okiem konwojentów do sztabu 2 ar- mii pancerniej. Tam, w oddziale wywiadowczym, stanąłem przed puł- kownikiem Szewczenko, kultural- nym, wysokiej klasy specjalistą. Przed nim uświadomłem się. Podalem



„Przestrzeń”



Mozaika w sklepie „Hortexu” w Radziewiu Podl. (1973) Fot. A. Polakowski

ANDRZEJ MARKOWSKI W LA SCALI



Fot. Z. Łagocki

W OKRESIE 31 lat wielkiej kariery artystycznej znakomity dyrygent Filharmonii Narodowej w Warszawie, Andrzej Markowski, lublinianin z pochodzenia, stał w rzędzie najwybitniejszych dyrygentów światowych. Aby osiągnąć ten najwyższy poziom swego kunsztu, poparł talent ogromną pracą szkoleniową.

Już jako 15-letni chłopiec gra doskonale na fortepianie. W okresie okupacji jest uczniem słynnego Artura Malawskiego (mieszkałego wtedy w Lublinie) w dziedzinie teorii i kompozycji. Po zakończeniu wojny studiuje w Anglii w Trinity College of Music w klasie Alec Rowle'a. W 1947 r. wraca do Polski i wstępuje do Państwowej Wz- zesz Szkoły Muzycznej studiując równoległe klasę kompozycji u prof. T. Szeligowskiego i prof. Rytla oraz klasę dyrygentury u prof. Wilczaka i prof. W. Rowickiego. Po uzyskaniu w 1955 r. dyplomu, angażuje się w Filharmonii Poznańskiej, potem dyryguje w Katowicach a następnie obejmuje szefostwo orkiestry Filharmonii Krakowskiej, z którą koncertuje w Jugosławii, Włoszech, NRD, Belgii i USA. W latach 1964-1968 jest organizatorem i dyrygentem Filharmonii Wrocławskiej. Na-

stępnie zostaje dyrygentem Filharmonii Narodowej w Warszawie, z którą odbywa w 1970 r. tournée na Bliski i Daleki Wschód, koncertując w Egipcie, Libanie, Iranie, Indii, Singapurze i Australii. W 1973 r. z orkiestra F. N. występował w NRF, Japonii i Anglii.

W październiku 1974 r. A. Markowski zostaje zaproszony przez dyrekcję słynnego Teatru La Scala w Mediolanie do udziału w trzech koncertach symfonicznych.

Dziennik „L'Unita” w recenzji z 11 października 1974 r. pisał: „Ottima l'esecuzione diretta da Andrzej Markowski — ha suscitato l'entusiasmo del pubblico...”. (Wspaniałe wykonanie pod dyrekcją A. M. wywołało entuzjizm publiczności). W podobnym tonie pisały dzienniki „Avvenire”, „II Giorno” i inne.

W listopadzie 1974 r. Andrzej Markowski występuje w mieście uniwersyteckim Bologna: dwa koncerty w Teatrze Communale.

W 1975 r. Andrzej Markowski wystąpił z koncertami w RFN, Belgii, we Włoszech, na których zaprezentował m. in. utwory Karola Szymanowskiego i Henryka Góreckiego „Ad matrem” i „Trzy utwory w dawnym stylu”.

Waldemar Dras

* * *

wiersz: mój
jeszcze ciepły
ty
który wyszedłeś
z domu
i nie powróciłeś
do dziś
o kulach w sercu

wierszu mój
na ciebie wypadnie
na mnie
bęć

KOBIETA Z MOJEJ KAMIENICY

dzisiaj pełen garnituru
podoje odświętny komunikat
o śmierci
która zastała mnie w drodze
potworotnej
tu

I

dom został
ogród siada teraz w śniegu
twoje nogi
sa pełne ziemi
ś! dam więc jeszcze dziś do wiersza
jak chłop do pluga
a skiby leca ze stołu pilane
jeszcze tylko koks zrzucić
co rozkłada się jak wieczorna
modlitwa
na ogień

II

bądź spokojna o te trzy piętra
pochylona wdowo
ogród pełen jest już kotów
niedoścignionych
ty dobrze wiesz że nie lubie
kobiet z mojej kamienicy
zarażonych na śmierć
więc ja jeszcze żyw i zamieszkały
nie tryskam modlitwą na twoim
grobie

III

donosze ci
że sa jeszcze poruszający się tutaj
i diunożni
ogród pełen jest żywych i złośliwych
dzieci
dzieci bawią się w wiaderka
później uciekają do starego garażu

IV

Ja jeszcze dziś
jestem bezpiecznym i statym
dopelnaczem
spisu lokatorów

Roman Gorzelski

DLACZEGO

Przyszedł do człowieka nóż
— dlaczego mnie używasz
przyszedł do człowieka pies
— dlaczego mnie ponizasz
przyszedł do człowieka dąb
— dlaczego mnie podpalam
przyszedł do człowieka trawa
— dlaczego mnie wycinasz
przyszedł do człowieka Bóg
— dlaczego we mnie wierzysz

Janusz Borowicz

AGNIESZKA

Jestem kwiatem
zakletym w różę.
Jesteś gromem
i burza i straszliwą ciżną,
albo chybotliwym okrętem,
naim grzbietem
uderzającym o moją falę.
Krzyczemy —
następuje przebudzenie —
to tylko sen.

* * *

Skąd ja jestem,
skąd jeste — pytają.
Myśli trawie
w swoich niemych dłoniach,
a rozliczony
wewnątrz będę pustą.

* * *

Nabijani na wierzchołki
drzew, zostali symbolami pożogi
w skokach liści.
Niedawno, teraz nie potrzeba
skakać w ręce śmierci.
Przychodzi sama.

W LETNIM ZMIERZCHU

Stanisław Andrzej Łukowski

ZNAD rzeki dobiegały go krzyki skaczących do wody chłopaków. Nie widział ich, lecz wyraźnie rozróżniał głosy bliźniaków Rebizantów, Maluśkiego i Berdy. Skakali z poręczą zmuszającego mostu w beltowisko koło młynów, które usiane było starymi spróchniałymi palami. Nie odstraszało ich nawet to, że ubiegłego lata Kowal, chłopak z leńniczówki, na jednym z pali rozpruł sobie brzuch i przez miesiąc dogorywał w szpitalu.

Od zwartej masy lasu zaciągało ciepłym zmierzchem, który wolno siadał wśród drzew ogrodu, wygaszał barwę żółknącej trawy i w miękkiej szarości topił resztki jasnych refleksów.

Chłopiec siedział na progu domu, z którego dobiegał go głos matki oraz kwilenie dziecka. Już zaraz od lasu powinien nadejść ojciec ze stryjcem Janem, który, mimo żaloby, w pijanym rozpasaniu śpiewał będzie sprosne, Bóg wie skąd mu znane piosenki i sam dla siebie zanosił się chrapliwym dławiącym go śmiechem.

Drgnął, gdy z głębi domu dobiegło go wołanie matki.

— Sylek, a zabaw małą, bo se gębę tym placzem zedrzel!

O tej porze zawsze ogarniał go niewytłumaczalny niczym lęk, kiedy przychodziło mu przejść przez pełną mrocznych zapachów siń. Przemykał zazwyczaj wstrzymując oddech i napinając się, jakby za moment coś miało go uchwycić za koszulę.

W izbie, gdzie leżało dziecko, na oknach wisiała jeszcze rdzawa poświata zachodzącego słońca, a cień ogromnej brzozy trzepotał na ścianie.

— Coś ty taki markotny? — zagadnęła go matka.

— E, nie — odmruknął, umykając spojrzeniem sprzed jej oczu.

— A... mężczyzna z ciebie! Umarła to umarła, taki to już czas jej był pisany — powiedziała matka i nagle pociągnęła nosem. — No, a co ty tak patrzysz? Zabaw wreszcie małą, toż drze się! — Z gniewem przesunęła krzesło, które niby stało na jej drodze i wyszła do kuchni. Słyszał jak z rumorem przestawia garnki na kuchni i coś cicho do siebie mówi.

— Tiii — zapiszczał nad łóżeczkiem dziecka — tiii, ptaszku, tiii. Dziewczynka przestała płakać i rozchyliła zaślinione usta. — Tiii — wydymał policzki — tuuu. — I nagle zamarł, usłyszawszy jej głos jak żywy. Głos matki dziewczynki. Cichy i miękki, aż ciarki przeleciały mu po plecach.

— Sylek, patrz no tylko, czy kto nie idzie.

Zanurzała się ostrożnie w wodzie, kątem oka widział jej nagie białe plecy i ogorzone ramiona oraz szyję. Włosy zwinięte w warkocz upięła na czubku głowy, aby ich nie zamoczyć. Kiedy już była cała w wodzie i tylko głowa sterczała jej nad powierzchnią, odwrócił się gwałtownie i zawołał: — Werka, tylko tam dalej nie idź, tam wiry... Roześmiała się pokazując duże jasne zęby, aż pogłos poszedł po wodzie.

Ubięła się szybko, a on sterczał na skarpie przestępując z nogi na nogę.

— Dobrze tam patrz, czy kto nie nadchodzi — przynaglała go chwila chłopca.

A później biegł skrajem łąk. Ona przodem, on tuż za nią, widząc wyraźnie plamy wilgoci na jej sukience, gdyż nie wytarła ciała.

— Tylko ty im nie mów, żem się kąpała — mówiła zdyszana. — Toż by mnie twoja matka na śmierć zakrzyczała.

— A czym powiedział kiedy? — odburkiwał urażony. — No, czym powiedział?

Kiedy już leżeli w stodole wśród chrobotu świeżego siana, kładła gorącą rękę na jego chłopięcym brzuchu i delikatnie samymi opuszkami palców sunęła po skórze, aż napinał się do bólu.

— Oni wszyscy mówią, że ja głupia. Sylek, czy ja taka głupia jestem? — pytała zduszonym szeptem, jakby bojąc się roztrzącić otaczającą ich ciemność.

— A i gdzież tam — odpowiadał cały rozedrgany, czując nawet w trzewiach to ciepło jej palców. — Tak tylko gadają.

Zazwyczaj, nim się obudził, ona stała już na klepisku z luną rdzawych włosów, w których walały się śdźbła siana. Krok w krok stawiając stopy na oszalałej trawie szedł za nią, kiedy wyganiała jałówkę oraz plamistą cieliczkę na łąki, nad którymi jeszcze miękka chłodna warstwa kottowała się mgła. Bose stopy drętwiały z zimna, ale ona jakby tego nie czuła. Pokrzykiwała na ślamazarnie wlokące się krowy:

— A dależ wy, dalej, zatracone!

Kiedyś, gdy leżała w trawie i patrzyła w górę, gdzie pozostawiając za sobą białą wąską strugę mknął samolot, zobaczył jej podbrzusze z mierzwą ciemnych włosów

— Sylek, jak on tak tam górą sobie lata i to podobno bez śmieci!

— Ano — odparł, nie mogąc oderwać oczu — ano, to takie specjalne samoloty. Odrzutowe.

Zobaczywszy jego wzrok, obciągnęła sukienkę.

— Chłopaczyna niby jeszcze z ciebie, a już cię przypina...

Poczuł jak krew gwałtownie leci mu do twarzy.

— A niby co, jedenaście lat już mam, a niby co... Roześmiała się, aż go zabolalo.

— Toż ciotka dla ciebie jestem — powiedziała — to prawie jak matka.

Ale nocą znow trzymała rękę na jego brzuchu, ciepłą, suchą i tak delikatną, że bolało.

Jakoś w połowie sierpnia matka zaszła nocą do stodoły i myśląc, że chłopiec śpi, zagadła w ciemność:

— Weronika, a co to z tobą? Głupia to jak wiadać jesteś, ale nie dla chłopów. Z kim to cię poniosło, ale gadaj, cholero!

Chłopiec usłyszał, jak Weronika ze stęknieniem przewraca się z pleców na bok w stronę głosu matki.

— Cóż mi ty znów, Jadwiś. Cóż mi ty?

— Już ja wiem, co mówią. Gadaj mi, ale już! — Matka nagle zapłakała. — I co ja teraz przed ludźmi. Toż Władek ciebie przegonił, zatłucze, sponiewiera. Jezusie — zawodziła. — Jezusie ty mój kochany... a cóżem ja takiego zrobiła, że tylko zgryzoty zylasz na mnie. Oj, oj... — zasiorbała nosem i chłopiec odgadł, że wytarła go rogiem zapaski. — Weronika, mów mi zaraz z kim! Bo chyba nie z tym kurewskim Berdą, który jak tylko mu baba zaniemogła, to po wsi zaczął szukać. No, mówże!

Ale Weronika milczała. Chłopiec słyszał w ciemności jej ciężki szybki oddech i nie musiał widzieć, aby mógł sobie przypomnieć jej twarz, od jakiegoś czasu mimo opalenizny poszarzała, z głębokimi plamami brązu pod oczami.

— Jadwiś — powiedziała cicho Weronika — a jakby tak gdzieś do miasta, w ludzi...

— Do miasta — parsknęła matka. — Któż cię tam weźmie! Co będziesz robiła, kto ci da jeść? I z bachorem na dodatek. Jezusie — znow zaczęła zawodzić — a cóżem ja złego zrobiła...

Od tej pory coraz wyraźniej chłopiec widział krągłość powiększającego się brzucha u Weroniki. A i ona jakby wolniej i stępciej chodziła. Czasami jeszcze, gdy się zapomniwała, biegła wraz z chłopcem, lecz ni stąd ni zowąd nagle przystawała i wsłuchiwała się w siebie. I nawet nie oburzała się tak gwałtownie, gdy bliźniaki Rebizanty zachodząc do niej na odległość rzutu kamieniem, skandowali:

— Siapsa, lapsa, siadaj na psa, z psa na sukę i rób sztukę!

Kiedyś bez opamiętania pogoniłaby za nimi, teraz tylko w bezsilnej złości szczyrzyła zęby i wywalając różowy język, odkrzykiwała: — Rebizanty, partyzanty, bezmamine skurwysyny!

Przyszedł czas, że i ojciec to zauważył. Ten duży, pozornie powolny i nieruchawy mężczyzna, uderzył Weronikę w twarz tak nagle i niespodzianie, że zakolysała się na nogach i nim zdolała zapłakać, uderzył drugi i trzeci raz.

— Szmata — wymamrotał przez zaciśnięte zęby. Pod moim dachem. — Sapał gniewnie i już do chłopca powiedział: — Sylek, ty w domu będziesz spał, bo prześmierdniesz.

Wieczorem ojciec, słowa nawet nie mówiąc do matki, wyszedł z domu. Chłopiec skradając się, ruszył za nim. I nim jeszcze dotarł na miejsce, wiedział, że ojciec idzie do Berdy, który mieszkał pod lasem, o jakiś kilometr od nich, tuż nad samą Tanwią.

Chłopiec z mierzwy przydrożnych krzaków patrzył na dwu mężczyzn stojących na przeciw siebie i jakby pogodnie rozmawiających. Następnie zobaczył, jak ojciec zamierza się i nim tamten drugi zdołał umknąć spod pięści, wali go w twarz. Ciężko, zamaszycie, aż Berdo zachwiał się, a przestraszony pies ze skomieniem umknął do budy.

Nocą, gdy chłopiec usiłował zasnąć, usłyszał jak ojciec mówi do matki:

— I co my teraz, Jadwiś? — Z chrzęstem przewrócił się na słomianym sienniku. Zaszleściło i ojciec zapalił. Chłopiec spod przymkniętych powiek widział punkcik żarzącego się papierosa, którego pelgające niki światło oświetlało fragment ust.

— No i co my z nią? — wyszeptala jak do siebie matka. — Wygonić, toż przecież siostra. I gdzie ona, półgłówek... Władek, a gdyby ją tak do Janka?

Ojciec zdusił niedopałek w zrogowaciałych palcach, aż iskry snopem poleciały na podłogę.

— Już wszyscy gadają. Na posterunek może by, niech oni tam... — powiedziała matka i zachlipała.

— Co też gadasz! A co im do tego? Jak suka nie da, to i pies nie weźmie. — W ciemnym pokoju zaległo milczenie. Chłopiec odgadł, że matka sięga do twarzy oca tak iakoś niezgrabnie i lekliwie i wieszcie dłonią po śniadawej nieogolonej skórze.

— Spij już — mówi cicho, tklivic, tak jak tylko zwracała się do niego. — Spij już...

Gdy chłopiec zasypiał, słyszał jeszcze sapliwy oddech ojca i cichy jakby proszący głos matki.

Pierwsze chłody ścięły trawę, a Weronika nie chciała spać w domu. Z dnia na dzień coraz bardziej pękła, ciężka, o obrzmiałej twarzy, z trudem wywlekała się na górkę z sianem i tam okutana starymi kapotami ojca oraz rozlażącą się koldrą zasypiała. Chłopiec zakradł się do niej i cicho wołał:

— Weronka, Weronka!

— Do domu wracaj, nie tu po tobie — odpowiadała opryskliwie. — Matka znow przyleci z psakiem do mnie.

Rebizanty i Maluśki, z którymi chodził do jednej klasy, zagadywali:

— Od chłopca, gadają, tak ją wzdęło. Rozlitie ci się Weronka, Sylek. — Bił się z nimi, a ojciec w domu dokładał mu ze swej strony.

— Podrośniesz, to pięści będziesz ostrzył, a nie teraz, szczylu! — A w oczach miał ten łagodny miękki wyraz, jakby to o piesszotę chodziło.

Już podczas mocnych mrozów, gdy szadź na galeziach siedziała, jak białe fantastyczne kwiaty, Weronika jakiegoś ataku dostała. Wybiegła na podwórze, w kiece tylko i zaczęła zawodzić boleśliwie. Twarz przy tym pogodną miała, wyostrzoną jakimś dziwnym światłem. Kiedy chłopiec podbiegł do niej, jakby ochłonęła i po psiemu szczyząc zęby, zaskomliła:

— A odejdź ty... a dalej. — Dopiero matka siłą ją zwlokła z podwórza, rozdygotana, z krwistymi wypiekami na twarzy i jakąś zupełnie obcą.

Chłopiec zapamiętał ten ciepły wiosenny dzień. Matka wodząc się za głowę i brodząc po strątanym śniegu na podwórzu zawodziła jednostajnie, jęklivic:

— Jezusie, Jezusiku ty mój...

Ojciec zaparł się jakby w progu domu. Duży, ciężki, z twarzą zmartwiałą i poszarzałą, na której wyraźnie odbijały plamy ciemnego zarostu.

Chłopiec zachlipał po dziewczęństwu, pociągając nosem i patrząc to na ojca to na matkę, pognał w stronę stodoły.

Dziecko spało rozchyliwszy usta. Chłopiec na palcach wymknął się z domu i przysiadł na progu sieni.

Zmierzch prawie już zupełnie stopił kontury drzew, ostatnie cienie pelży w ciszy, którą roztrącały tylko zwyczajne o tej porze naszczekiwania psów i porykiwania bydła. Gdzieś odległe i przenikliwie zaskrzykiwała studnia.

Od lasu nadciągały dwie sylwetki, niewyraźne i ciemne. Mimo zapadającego zmroku chłopiec rozpoznał ojca i stryja Jana, który co chwila zataczał się.

Chłopca opadła nagle tak dojmująca tęsknota, że zaśpiewał. Zrazu cicho, później głośniejsz, zatykając uszy palcami.



Rys. E. Ingłot

WPONIEDZIAŁEK schronili się w piwnicy. Chwycił mróz i zaczął sypać śnieg. On próbował rozpaść w pięciu piekarniczym, bo oboje dygotali z zimna. Ale dym tak szczył w oczy, że posiedzieli godzinę i poszli. Kluczyli po zaułkach do rana.

We wtorek spali u jego znajomych. W jednej izbie małżeństwo, dwoje dzieci i oni.

W środę spotkali Lolka, kumpla z więzienia. Miał do wynajęcia pokój w obszernym M-4 na LSM-ie. Myśleli, że się u niego zameldują.

W czwartek po południu po Lolka przyszła milicja. Ich także na wszelki wypadek zabrała. Wyszli z komisariatu późnym wieczorem. Pojechali na dworzec, żeby coś zjeść. Tam spotkali znajomego taksówkarza, który postawił 12 kaw i 12 pączków. Doczekali do zamknięcia bufetu. Resztę nocy spędzili na klatce schodowej w jego kamienicy.

W piątek poszli do „Kosmosu”. Cały seans przepali, żadne nie zapamiętało nawet tytułu filmu.

Nazajutrz mieli zamówiony ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego. Ona — Wanda Płatek, lat 27. On — Marek Wiak, lat 32. Oboje bez pracy.

...

Dzwonek. Skrzyp solidnych drzwi.
— Pani Wiak?
— Ja... A o co chodzi?
— O syna.
— On tu nie mieszka.
— Tu jest zameldowany.
— Wyprowadził się.
— A wie pani gdzie?
— Nie.

Z mrocznego korytarza wchodzi do mieszkania. Za przepierzeniem kuchnia, z otwartych do pokoju drzwi wieje piwniczny chłód. Kątem oka rejestruje serwety na komodzie, obraz Matki Boskiej ocieniony kwiatami z fioletowej bibuły.

— Mieszkanie nie jest takie małe — rzucam.

— Nie. Ale ja, widzi pani, stara jestem. 65 lat przeżyłam. Czwooro dzieci wychowałam. Mąż chorował 12 lat, zanim umarł. A ja ćwierć wieku harowałam w browarze, wiecznie zachlapana wodą. Dotąd ból tak wykręca mi stawy, że nie wiem, gdzie ręka, a gdzie noga. To czy ja, proszę pani, nie mam prawa do spokojnej starości? Jest taki człowiek, akuratny, przyjaciel, co przyjdzie, „jak żyjesz”, zapyta, no taki grzeczny, dobry człowiek, co pożałuje i tak dalej... My oboje starsi. Mamy się pobrać.

— No ale dopóki syn nie znajdzie własnego kąta, mógłby tu przecież mieszkać — nie ustępuje, bo wiem, że powiedziała niewielką część prawdy.

— Z synową się nie zgodzę. Mieszkała tu kilka dni. Ja ich ze swojej renty nie wyżywię. Nie wystarczy. I nie pozwolę, żeby obca dziewczyna po kredensie i kuchni rządziła. Ale im razem może być dobrze. Oni oślepli, światła poza sobą nie widzą. Ślub w sobotę zamówili, choć ani buta, ani sukienki ona nie ma. W jednych majtkach przyjechała wywłoka jedna. Matka wypędziła ją z domu. Jeszcze samego syna przyjąłabym. Bo serce boli, że tak się moje dziecko poniewiera. Ja, jak człowiek, w łóżku, a on, jak ten pies, trzęsie się w bramie od zimna i głodu. On 15 lat przesiedział w więzieniu. Chory na głowę, z dziurą w brzuchu. 15 lat. Całą młodość.

Odosobnienie obywatelnia człowieka, a powrót za więziennej bramy do normalnego życia przypomina pierwsze kroki pacjenta, który wstaje po ciężkiej operacji. Właściwie wielu rzeczy trzeba uczyć się od nowa — właśnie wtedy, gdy chciałoby się jak wygłodniałe zwierzę pochłonąć wszystko to, czego tam nie było.

Czy praca i mieszkanie w hotelu robotniczym, bo to dostają natychmiast, to mało?

— Ale z dalekich podróży zawsze wraca się do domu rodziców — myślę głośno.

Matce opadają ramiona. Ezy wsiadają w zmiażdżoną chusteczkę. Teraz nie ma usprawiedliwień, nie ma pretensji i żalu. Jest tylko ból.

Ona nie może go przyjąć. Nie może. Boi się. On chory. Od dziecka uciekał z szkoły, nocował po komórkach. Ileż oni musieli się z mę-

żem namęczyć, żeby siedem klas skończył. Nieszczęśliwe dziecko i ona nieszczęśliwa. Jak łagodnie do niego mówi, to niby grzeczny. Ale czasem robi się z nim coś takiego, że tylko z domu uciekał. W siedemdziesiątym roku to było. W lutym mąż umarł, a w sierpniu wypuścili Marka z więzienia. Narzekał wtedy na ból głowy. Przyszła spracowana z browaru, patrzy, a on na tapczanie leży. To ona mówi: „No cóż tak leżysz? Ojciec, choć inwalida, jak żył, to i węgla przyniósł i w kuchni napalił”.

A on trząsk butem o ścianę. Zerwał się, gałgany na sobie porwał, poszarpał. Wytłukił co było na wierzchu i do kredensu biegnie. „Gdzie nóż?” — krzyczy. I ostrzem przepięcie jak sito podziurawił. Dotąd widać, choć już ze dwa razy r alowane.

Uciekała do córki. A jak wróciła — leżał skręcony na podłodze w

Powtarza się ten kanon prokuratora: „Oskarżam Marka Wiaka, ur. 1943 roku (...), pochodzenia robotniczego, o wykształceniu 9 klas szkoły o ólnokształtującej, z zawodu fryzjera, żonatego, ojca jednego dziecka lat 4, bez majątku, karanego czterokrotnie za zagarnięcie mienia społecznego, o to, że...”

— Nigdy nie wytrzymałem na wolności dłużej niż 3 miesiące. A teraz, licząc Wandeczkę, od maja... „czerwiec, lipiec, sierpień”.

Pijemy we troje kawę. Nie wyglądają na bezdomnych. Czyści, odprasowani. Tylko twarze zmęczone bez uśmiechu.

— Ponad pół roku wytrzymałem, bez przesady. Ale i nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Ona pilnuje mnie tak, że do ubikacji ze mną chodzi.

— Och, co ty... — dziewczyna czerwienieje.

Wrócił do pracy, zaczął jadać w barze, gdzie ona była bokierną. Najpierw spacer, kino, kawiarnia, potem wizyty u niej w domu. W ciepłym dużym pokoju, gdzie matka gotowała obiady i w niedzielę cała rodzina zasiadała do stołu w największym pokoju.

Ale przeszłość powraca wstrętą czkawką. Tym razem wskrzesiła ją znana w lubelskich melinach (i nie tylko) Janina Sudół w duecie z aktualnym narzeczonym, Krzyskiem Kowalskim. Zwiedzieli się oni, że Marek urządził się nieźle w Grodkowie i przyjechali tam szukać szczęścia...

Wtargnęli w spokojną egzystencję Marka i po miesiącu szczęśliwy narzeczony, pracowity robotnik, zgodny współlokator, był znowu recydywistą z bagażem 15 lat więzienia. Janka wróciła do lubelskich triczków z pożyczaniem pieniędzy (za co zresztą już raz była karana), a kiedy zaprotestował „obsmarowała” go do acnej pani Płatkowej, że własną matkę chciał zamordować, że recydywista tatuowany w kotwice, syreny i inne babozwierze.

Pani Płatkowa rozchorowała się ze zgrozy i postanowiła swemu dziecku wyperswadować mezalians z kryminalistą. Dzielnie pomagała jej w tym kierowniczką baru, w którym pracowała Wanda. Wreszcie w domu nastąpił sądny dzień, gdy matka z płaczem zażądała od córki zerwania. I wtedy Wanda wybrała narzeczonego. Oboje zwolnili się z pracy i przyjechali do Lublina.

Tu dopiero rozpoczęła się „wielka przygoda” grodkowskiej panny. Zamiaszt własnego pokoju w domku jednorodzinny — niepewny kątek u teściowej, a potem bramy, meliny, klatki schodowe i dworzec kolejowy. Kiedy zamieszkali u Fredka, który miał więcej szczęścia od Marka, bo po wyjściu z więzienia dostał z kwaterek pokój z kuchnią, zobaczyła po raz pierwszy z bliska milicjanta. Pojawił się nieproszony, nie wiadomo skąd, gdy pijana „narzeczona” Fredka poharatowała sobie ręce żyłką. W kilka dni później już jechała radiowozem z nowym przydomkiem „dzikiego lokatora”. To było po zajęciu facjaty na Starym Mieście, gdy przeżyli dwa dni złudnego spokoju. A potem kontakty z milicją były już chlebem powszednim.

Za oknem wirują płatki śniegu. Popijamy mleko ze szklanek.

— Potrzebny był pani ten klopc, ty poniewierka?

— Początki zawsze są trudne. Ja tam nie narzekam. Nawet gdybym wiedziała co mnie tu czeka, postąpiłabym tak samo.

— Nie ma pani ochoty wrócić do mamy?

— Mama była tu. Miesiąc temu. Chciała mnie zabrać. Nie zgodziłam się. Jestem Markowi potrzebna. Wie pani, ludzie muszą sobie ufać. Ja nigdy nie pytałam Marka o przeszłość. Błędy przecież robi każdy. Dla mnie ważne jest dziś i jutro.

— Tak, jutro... A co ze ślubem?

— Odrożylimy. Ślub chcemy wziąć jak ludzie. Ja w żółtej sukni, on w brązowym garniturze i białej koszuli. Na razie nie mamy się nawet gdzie przebrać.

Wyciąga z zamuszonej torebki chusteczkę higieniczną.

— Zakataryła się pani?

— Tak, trochę się przeziębiam — wzdycha — ciężko jest. Palto zostało w Grodkowie. Ale jakoś to będzie.

Recydywa jest nałogiem, bardzo trudnym do wyleczenia. Naczelnik Wydziału Kryminalnego KMMO w Lublinie opowiedział o kilku takich, którzy po amnestii wytrzymali na wolności zaledwie dobę. Naczelnik przypominał też sobie jedną tylko biografię recydywisty, który po 16 latach śledzenia w więzieniach, przez całe 5 lat wytrwał na wolności, ale tylko dlatego że czekał, kiedy skończy się mu recydywa. A kiedy się skończyła, dokonał włamania i znowu poszedł siedzieć. Tym razem na 12 lat.

Ale są wśród przestępców i tacy, dla których więzienie było dostatecznie pouczającym doświadczeniem. Na przykład chłopak, który dostał 10 lat za napad na ambulans pocztowy, skończył w więzieniu technikum, a na wolności rozpoczął zaoczne studia w Wyższej Szkole Inżynierskiej. Więc możliwości powrotu do normalnego życia są.

(Nazwiska — z wiadomych względów — zmienione).

ŻYCIE POŁA- MANE

Małgorzata Sawicka

kuchni. Kolana podciągnięte pod brodę, a spod niego płynęła po desce strużka krwi. Miał nóż w brzuchu, wbity po rękojeść.

Cztery i pół godziny trwała operacja. O milimetr był od śmierci, bo tyle do uszkodzenia śledziony brakowało.

Dzwonek tamuje nagle pochłipywanie. Do kuchni wchodzi jasnowłosa dziewczyna z dzieckiem obejmującym sarenkę z flauszu.

— Płaczesz ty babciu?

— A co, nie mam czego płakać?

Kiedy przejrzałam prywatne archiwum Marka Wiaka (poza stertą opasyłych teczek w sędzie), pomyślałam, jak bardzo można zubożyć własne życie i jak wiele w tym prawdy, że człowiek sam wybiera sobie los.

Akty oskarżenia, wyroki sądowe z całymi rzędami artykułów, paragrafów, a każdy z nich to ściśle zakwalifikowany epizod z życia: włamanie, napad, gwałt.

„Postanowienie o przedłużeniu tymczasowego aresztowania.”

Uzasadnienie: Marek Wiak jest podejrzany o to, że dnia 9 XII 1970 roku w Lublinie znieważył miejsce spoczynku zmarłych niszcząc na cmentarzu krzyże i płyty nagrobkowe.

Postawiony zarzut został potwierdzony dowodami, wobec czego zastosowano areszt tymczasowy. Sledztwo należy uzupełnić przez przedstawienie Wiakowi zarzutu usiłowania dokonania gwałtu na nieletniej R. Pakule.

Należy też dołączyć do akt sprawy odpisy wyroków i opinie z zakładów karnych, w których przebywał pięciokrotnie karany Wiak.

Od dnia 13 II 1971 roku Wiak znajduje się na obserwacji w Państwowym Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Lublinie. Lekarze podejrzewają, że jest on chory na pad czkę ze stanami pomrocznymi”.

